

W DRODZE

D W U T Y G O D N I K P O L I T Y C Z N Y I L I T E R A C K I

Nr. 4

Jerozolima, 16 maja 1943 r.

Rok I

WIKTOR WEINTRAUB

W ROCZNICE KOPERNIKAŃSKA

Kopernik umarł we Frauenburgu na Warmii 24 maja 1543 r. Z początkiem tegoż 1543 roku wyszło z pod prasy w Norymberdze jego dzieło „O obrotach” („De revolutionibus”), które dokonało takiego przewrotu w dziejach myśli europejskiej. Legenda chce, aby książka została dostarczona autorowi w dzień jego śmierci.

Tak więc w roku obecnym obchodzimy podwójną rocznicę: czterechsetlecia narodzin dzieła, które stało się jednym z przełomowych zdarzeń w dziejach kultury światowej, i czterechsetlecia zgonu jego genialnego autora.

„Przełomowe zdarzenie w dziejach kultury”, „genialny autor” — bardzo łatwo to powiedzieć, zwłaszcza w artykule jubileuszowym. Czy to jednak nie za wiele powiedziane? Zwłaszcza dziś, kiedy koncepcje astronomów zaskakują nas swoją zuchwałością i subtelnością zarazem, kiedy są one tak niezwykłe, że z wielkim trudem tylko możemy za nimi nadążyć myślą, a już w żaden sposób nie

„Wyzwolił z ciasnego więzienia” — bardzo to mocno powiedziane. Cóż to było za więzienie?

Ten pogląd na budowę świata, który teoria Kopernika burzyła, miał za sobą tradycję kilkunastu wieków. Twórcą jego był jeszcze Arystoteles. Pogląd ten wyobrażał świat jako całość kulistą, zamkniętą. W samym środku tkwiła nieruchoma ziemia. Dokoła ziemi jednostajnym ruchem kolistym obracały się księżyc, słońce, wszystkie planety. Zamykała świat nieruchoma, kulista „ósmą sferą”, sfera gwiazd stałych. Poza nią nie było już nic.

Wszystko, co znajduje się na ziemi i nad powierzchnią ziemi, zbudowane jest z czterech pierwotnych rodzajów materii, tak zwanych elementów: ziemi, wody, powietrza i ognia. Elementy te możemy ułożyć w pewnym porządku zależnie od ich wartości. Najmniej wartościowym elementem jest najcięższa ze wszystkich ziemia. Potem idzie woda. Od ziemi i wody szlachetniejsze jest powietrze. Jeszcze szlachetniejszym elementem jest ogień. Planety zbudowane są z innego jeszcze elementu, który jest bez porównania doskonalszy od wszystkiego, co na kuli ziemskiej się znajduje, bo z eteru. Świat więc skonstruowany był na zasadzie hierarchicznej: im dalej od ziemi, a bliżej ostatniej, ósmej sfery niebieskiej, tym element, z którego był zbudowany, jest szlachetniejszej natury.

Obraz świata, stworzony przez Arystotelesa, łatwo mógł się przyjąć, bo odpowiadał pewnym estetycznym potrzebom umysłu ludzkiego: był jednolity, prosty, harmonijny. Rychło jednak prostota tego obrazu zaczęła się psuć. Postęp w obserwacjach kazał ludziom stwierdzać, że rzekomy ruch planet dokoła ziemi nie jest wcale ruchem jednostajnym po orbicie koła, ale że można w nim obserwować pewne zwolnienia i przyspieszenia biegu oraz rzekome cofnięcia. Z trudności starano się wybrnąć w rozmaity sposób, najczęściej przyjmując istnienie t. zw. epicyklów. Uznano, iż planety poruszają się po obwodzie tych epicyklów, to jest mniejszych kół, które znowu miałyby się poruszać po linii obwodu kół większych, właściwych sfer. W miarę wzrostu dokładności obserwacji ten system epicyklów coraz bardziej się komplikował. Średniowiecze odziedziczyło po starożytności obraz świata ułożony w II wieku po Chr. przez Ptolomeusza z Aleksandrii. Jego podstawowe zasady były arystotelesowskie, ale daleko mu już było do prostoty pierwotnego systemu.

Średniowiecze chrześcijańskie przejęło system ten tym łatwiej, że przez swoje przeciwstawienie niedoskonałych elementów ziemskich i eteru niebiańskiego harmonizował on z chrześcijańskim przeciwstawieniem tego co ziemskie, doczesne, i tego co niebiańskie, na prawdę doskonałe.

Z życiem potocznym arystotelesowsko-ptolomeuszowski system wiązała najsilniej astrologia, nauka odgadywania przyszłości z gwiazd. Trzeba tylko było znać dokładnie datę urodzenia człowieka oraz umieć obliczyć dla danej miejscowości położenie gwiazd w ten dzień, aby można było postawić prognozy, „naukowo” określić, pod jaką gwiazdą człowiek ten się urodził. Powiedzenia, że ktoś jest człowiekiem z pod ciemnej gwiazdy, albo że się pod taką gwiazdą urodził, są językowymi przekształceniami z czasów wiary w astrologię.

Z reguły astronom był równocześnie i astrologiem. I naodwrot: nie można było stawiać prognozy, nie znając zasad ówczesnego rachunku astronomicznego. Astrologów mieli na swych dworach królowie, panowie świeccy i duchowni. Układanie pewnych prognozy wchodziło w zakres funkcji uniwersyteckich profesorów astronomii zupełnie tak samo jak wykłady. W uniwersytecie krakowskim ufundowano nawet w połowie XV wieku specjalną katedrę astrologii. Kolegiat, obejmujący ją, miał objaśniać Ptolomeusza i traktaty arabskie oraz co roku przedstawiać uniwersytetowi prognozy z wórobami na temat wydarzeń politycznych, grozących klęsk, zapowiedzi urodzaju, pogody. Dziś astronomie uważamy za jedną z bardziej oderwanych od życia nauk, i ilość ludzi, którzy się nią bliżej interesują, jest niewielka. Bliższe współzycie astronomii z astrologią sprawiało, że w średniowieczu i w XVI w. zainteresowanie zjawiskami astronomicznymi było powszechniejsze, tym powszechniejsze, że prognozykami astrologicznymi posługiwano się także przy stawianiu diagnoz lekarskich. Jeszcze z początkiem XVII w. Kepler pisał o astrologii jako o „głu-

piej córce, utrzymującej wysoce mądrą, ale biedną matkę” — astronomię.

Rzecz prosta, wiara we wpływ gwiazd na życie ludzkie miała charakter typowo magiczny, ale przekonanie o centralnym położeniu ziemi we wszechświecie dostarczało pozorów uzasadnienia dla wiary, iż właśnie na ziemi skupiają się wpływy gwiazdne.

Otoż odkrycie Kopernika zniszczyło zarówno hierarchiczną drabinę arystotelesowskiego układu elementów budowy świata, jak i „naukowe” uzasadnienie wiary w astrologię. Ziemia z środka kosmosu została przeniesiona między dwie planety: Marsa i Wenerę. Cała hierarchia załamywała się z trząskiem. Nonsensem byłoby teraz mówić, że materia, z której zbudowana została ziemia, jest lepsza czy gorsza od materii Marsa czy Saturna, Merkurego czy Wenerę. Teoria Kopernika zadała śmiertelny cios nie tylko pewnej hierarchii, ale także i samej zasadzie hierarchii.

Zadała również śmiertelny cios astrologii. I to nie tylko dlatego, że inaczej przetasowały planety, czyniąc wszystkie obliczenia astrologiczne bezużytecznymi. Cios był dużo groźniejszy. Ostatecznie obliczenia można było odbudować na nowych podstawach. Ale teoria Kopernika uderzała w samo uzasadnienie astrologii, stawiała pod znakiem zapytania wiarę, iż planety rządzą biegiem życia ludzkiego, skoro ziemia z centrum świata stawała się jedną z planet.

I tu właśnie, przez uprzątnięcie wiary w hierarchię elementów i magiczny wpływ planet na życie ludzkie, teoria Kopernika dokonała dzieła szczególnie zbawienne dla rozwoju nauki. Uprzątnęła myślenie przyrodnicze z czynników uczuciowo-magicznych. Astronom, i nie tylko astronom, mógł teraz operować „elementami” swobodnie, zależnie od tego, co mu doświadczenie i jego koncepcje podsuwały, nie kłapiąc się ich wartością hierarchiczną. Planety przestawały być „fatalnymi” lub „szczęśliwymi”. Magiczno-uczuciowe więzy człowieka z kosmosem się rwały. Kepler pisał w swojej „Harmonii świata”, że jego gwiazdami nie są Mars czy Merkury, ale Kopernik i Tycho de Brahe. Kosmos stawał się mechanizmem, rządzącym się swymi prawami. W dochodzeniu tych praw uczony nie musiał się oglądać na względy uboczne. Dlatego to rozumiając jest rzeczą, że można było przyjąć teorię Kopernika jako wyzwolenie. Konsekwentnie przemyślana, egzorcyzmowała ona wszechświat z różnych „złych” i „dobrych”, „fatalnych” i „pomyślnych” magicznych sił. Wyzwalała człowieka z pod działania tych sił.

Wrażenie rewolucji w życiu umysłowym, jakie wywoływała teoria Kopernika, podkreślała jeszcze jedna okoliczność. Oto z obliczeń jego wynikało, że „stosunek odległości słońca od ziemi — żeby zacytować jego słowa z „Komentarzyka” w przekładzie L. A. Birkenmajera — do odległości firmamentu jest mniejszy aniżeli promienia ziemi do odległości słońca, tak że stosunek ten w otchłaniach firmamentu staje się znikomym”. Ziemia więc nie tylko że została stracona z centralnego stanowiska w świecie, ale także stawała się w tym świecie drobina, zagubiona w „otchłaniach firmamentu”.

W świecie kopernikańskim pozostało jeszcze sporo elementów, przejętych z dawnego arystotelesowsko-ptolomeuszowskiego układu, które zostały uprzątnię dopiero przez późniejszych astronomów: planety poruszały się tu tak jak i u Arystotelesa po orbitach koła, świat był nadal zamknięty, pozostała ostateczna, zamykająca go sfera nieruchomych gwiazd stałych. Wystarczyła jednak świadomość, iż ziemia nie zajmuje centralnego stanowiska w świecie oraz że wszechświat w stosunku do rozmiarów ziemi jest nieskończenie wielki, aby teoria Kopernika musiała być przyjęta przez współczesnych jako niesłychane zuchwalstwo.

Bardzo wymowne są tutaj pewne okoliczności, towarzyszące wydaniu dzieła „O obrotach”. Jak wiadomo, Kopernik długo zwlekał z jego ogłoszeniem. Ostatecznie ustąpił naleganiom swego ucznia Retyka. Wydaniem książki w Norymberdze miał się zająć tamtejszy znany działacz reformacyjny i kaznodzieja, Andrzej Osiander. Osiander bał się jednak przystąpić do druku tak zuchwałej książki. Znalazł więc wyjście kompromisowe w duchu modnej w Niemczech pod koniec ubiegłego wieku filozofii Hansa Vaihingera „des als ob” (to jest: „tak jak gdyby”). W listach do Kopernika proponował on wielkiemu astronomowi, aby tezy swe sformułował on w ten

W numerze:

Prof. S. Kot: Uniwersytet a świat powojenny. — Strategiczne teorie Haushofera. — Ukraińcy w Polsce. — W. Rajkowski: Skalna stolica Arabii. — J. St. Bystron: Emir Rzewuski. — J. Gałęcki: Wojny w roku 1943. — J. Czechowicz: Czemu sercu smutno? — M. Kuncewiczowa: Nieznajomy. — L. Biesiadowska: Rzeczy nieważne. — M. Petry: A jeśli trączę... Karmel. — Przegląd polityczny. — Książka Wańkowicza o sjonizmie. — Bellona. — Zwycięstwo na pustyni.

sposób, żeby czytelnik odniósł wrażenie, iż są to tylko próby uzgodnienia rachunków astronomicznych z obserwacjami, ale że autor nie bierze ich na serio, że nie uważa ich za dowiedzione prawdy naukowej. Kopernik sugerując Osiandrze odrzucił. Wtedy podszyty tchórzem kaznodzieja spreparował za Kopernika w takim duchu napisaną przedmowę. Fałszerstwo odkrył Kepler, któremu szczęśliwym trafem wpadła w ręce korespondencja Kopernika z Osiandrem.

Tak więc, odkrycie Kopernika było czymś więcej niż nową teorią naukową. Podważało ono cały system wierzeń i złudzeń, z którymi ludzie ówczesni związani byli silnymi więzami uczuciowymi, kazało im się rozstać z przekonaniami, z którymi żyli od wieków. Człowiek, który odkrycia takiego dokonał, musiał być naprawdę „wolny duchem”. Co więcej, odkrycie takie nie jest do pomyślenia bez atmosfery pewnej wolności. Atmosferę taką znał Kopernik w Polsce Zygmuntowskiej.



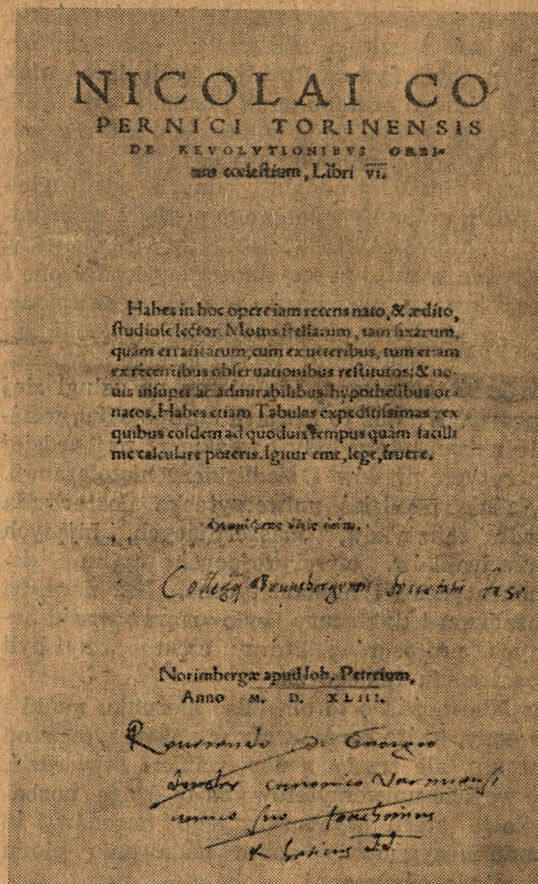
Mikołaj Kopernik

potrafimy nadać wyobraźnią, odkrycie człowieka, który wpadł na pomysł, że nie słońce, ale ziemia obraca się dokoła słońca, i potrafił prawdy tego pomysłu w sposób naukowo ścisły i przekonujący dowieść, wydaje się nam na pierwszy rzut oka blade i skromne.

Na to, aby sprawiedliwie ocenić doniosłość odkrycia Kopernika, trzeba umieścić je we właściwej perspektywie historycznej: zorientować się, jakie znaczenie miało ono dla współczesnych i czemu kładło kres.

Ci uczeni i myśliciele XVI i XVII w., którzy zapoznali się z teorią Kopernika i przyszli do przekonania, że jest ona słuszna, pełni byli, gdy mówili o niej, po pierwsze świadomości niezwykłości tej teorii, po drugie — podziwu dla odwagi i śmiałości jej twórcy. Uczeń Kopernika i entuzjastyczny propagator jego nauki Joachim Retyk (ten sam, któremu zawdzięczamy wydanie dzieła „O obrotach” nierychliwego autora) wielbił w Koperniku odwagę i niezależność przekonań. Mówił o nim, że jest „wolnym duchem”. Tak samo pełni najwyższego podziwu dla Kopernika byli dwaj najwybitniejsi astronomowie przełomu XVI i XVII w.: Duńczyk Tycho de Brahe i Niemiec Kepler. W pismach ich nazwisko jego pojawia się w towarzystwie takich epitetów, które służą dla oddania najwyższej czci.

Prawdziwy kult żył dla Kopernika Giordano Bruno. W jego dialogu, poświęconym teorii kopernikańskiej „La cena de la cenere” („Wieczera w śróde popielcową”), dwięćcy (tu jeszcze i inna nuta: świadomość wyzwolenia, zrzućcia z siebie pewnych więzów. Wielbi on tu Kopernika, który „nie oglądając się na sąd głupego tłumu i wbrew prawdom przeciwnego przekonania, pierwszy dopomógł do zwycięstwa prawdziwego poglądu — poglądu, wyzwającego naszą wiedzę z ciasnego więzienia, w którym tylko niejako przez nieliczne otwory można było oglądać gwiazdy, poglądu, który przemierzył przestwory, przeniknął niebo i rozwałił mury pierwszej, ósmej, dziewiątej i dziesiątej sfery”.



Karta tytułowa dzieła Kopernika „De revolutionibus”

Zważywszy tylko. Wiadomość o swym odkryciu ogłosił Kopernik po raz pierwszy w „Komentarzyku” („Commentariolus”), ułożonym w pierwszym dziesięcioleciu XVI wieku. Odtąd przez około czterdzieści lat życia Kopernika wieść o jego odkryciu szerzyła się coraz powszechniej. Historykom nauki udało się zebrać sporą ilość faktów biograficznych z tych czterdziestu lat życia wielkiego astronoma. Jest wśród nich i trochę szczegółów, mówiących o licznych trudnościach, przez jakie wypadło mu przejść w ostatnich latach życia. Nie ma wśród nich jednak ani jednego, któryby był świadectwem jakichś kłopotów i trudności, jakie Kopernikowi przyszyły przeżywać w związku z głoszonymi przez niego teoriami.

Gdzie indziej nie byłoby to znów rzeczą, tak zupełnie naturalną. Jeszcze za życia Kopernika, bo w r. 1541, „praeceptor Germaniae” Melancthon głosił, że władza państwowa powinna wkraczać i powściągać tak absurdalne teorie: „Zaiste, mądzy władcy powinni by powściągać utalentowaną lekkomyślność”. Małoduszna przedmowa Osiandrze także ma swoją wymowę.

Przypomnijmy tu teraz, że w Polsce Zygmuntowskiej narodziły się śmiałe i głębokie teorie Andrzeja Frycza Modrzewskiego „o naprawie rzeczypospolitej”. Nieco później też w Polsce znalazł schronienie okrutnie gdzie indziej prześladowani unitarianie (potocznie a nie najściślej zwani arianami) z Faustem Socynem na czele. Stworzyli oni w Polsce wyjątkowo bujny i ciekawy ruch Braci Polskich, który wywarł w XVII wieku niepośledni wpływ na poglądy takich ludzi, jak Grotius, Spinoza, Newton. Nie jest więc rzeczą przypadkową, że doktryna Kopernika dojrzała i została sformułowana w atmosferze wolności i tolerancji Polski Złotego Wieku.

PROF. STANISŁAW KOT

Uniwersytet a świat powojenny

Przemówienie wygłoszone w Londynie dn. 10 kwietnia 1943 r. na konferencji „The British Association”, poświęconej zagadnieniom wychowawczym.

Uniwersytety zrodziły się w epoce „ciemnych” Srednich Wieków („Dark Ages”), nieprędko uzyskały poziom naukowy, ale wywierały wielki wpływ. Wyrosły z jednego ducha Kościoła i filozofii scholastycznej, dawały jednolitą podbudowę kształcącą, dbały o równomierny poziom duchowy i moralny. Wychodząca z nich młodzież miała jak gdyby jednolity stempel. Przez nią ten sam kierunek udzielał się szkołom niższym, zakonom, kancelariom. Warstwa kształcona zawdzięczała uniwersytetom swój jednolity kierunek, swoją więź duchową. Jednolicie myśleli i jednym językiem mówili, nie tylko dlatego, że po łacinie, wszyscy uczeni od Salerno i Coimbrzy na południu, po Oxford, St. Andrews, Upsalę, Pragę i Kraków na północy.

Z wejściem prądu humanistycznego w życie uniwersyteckie zmieniała się treść nauczania, odmieniały ideały pedagogiczne, ale pozostała w wadze poczucie jednolitości, kierunku ogólnego. Mówiąc zwięźle, jak przedtem Arystoteles, tak teraz Cicero formował nową „communitas opiniorum”. Członkowie uniwersytetów, zarówno profesorowie jak wychowawcy, świadomie pielęgnowali swoją wspólnotę, określając się jako „respublica litterarum”. Wyznawali wspólne ideały od Oceanu Atlantyckiego po Dniepr. Cechował ich wspólny styl w słowie i piśmie, a także wspólny ton w życiu, nie tylko „elegantia verborum”, ale i „civilitas morum”, a także wspólny zapał do obrony humanistycznego poglądu na świat przeciwko wszystkim uprzywilejowanym nieukom, przeciw „barbaries”.

Jak długo podstawę wychowawczą uniwersytetu stanowiły pierwiastki chrześcijańskie, splecione z kulturą klasyczną, owa „uniformitas” była żywa. Rozbija ją dopiero wiek największego postępu nauk i badań, wiek XIX, ze swoją specjalizacją w naukach, która z jednej strony pochłania studenta w ciągły lat pracy, z drugiej oddala jednych od drugich i usuwa potrzebę jednolitego poglądu na świat.

Z uniwersytetu wychodzi nowe pokolenie, świetnie w swej specjalności wykształcone i rozmiłowane, ale i też w niej zasklepione, często obojętne na zagadnienia ogólne i zasadnicze. Znakomite wykształcenie, wiedza, biegłość techniczna, idą nieraz na usługi złej sprawy. W iluż to krajach europejskich właśnie uniwersytety były ogniskiem najbardziej zatrutych prądów i siedliskiem nietolerancji. Właśnie młodzież uniwersytecka dostarczała kadr fanatyków, maszerujących, bijących przeciwników, terroryzujących czynniki demokratyczne i humanistyczne. Ileż narzędzi totalizmu i dyktatury było nieraz wśród samych profesorów, którzy często winni byli rozniecaniu takiego zła.

Nie można o to obwiniać kierunku nauki i metody, które zapanowały w uniwersytecie od lat stu, ale trzeba z ubolewaniem stwierdzić, że wejście uniwersytetów na tę drogę pozbawiło je steru wychowawczego narodów i że same zrezygnowały one z nadawania pionu warstwie oświeconej.

Wojna obecna i jej przebieg odsłoniły całą potworność kierunku wychowawczego, który w ostatnim pokoleniu opętał młodzież niektórych państw europejskich. Zwycięstwo oręza nie wystarczy, aby pchnąć ludzkość na zdrowe tory. Tanki i samoloty nie pobiją tego wroga, który był hodowany w umysłach młodego pokolenia, w krajach dyktatury. Musi tu być zastosowana akcja reedukacyjna, w której przewodniczą rolę przypadnie uniwersytetom. Zapewne na przeciąg lat 20 czy 30 po wojnie okaże się niezbędnym, by uczeni obrócili część swej energii, zdolności i czasu na problemy wychowawcze. Uniwersytety nie powinny uchylić się od podjęcia znowu zadań ogólnego formowania poglądu na świat, przekształcenia umysłów i charakterów. Trzeba na nowo znaleźć wspólny język i zaszczyć wspólne pojęcia rozdartej ludzkości, narodom oddalonym od siebie pod tym względem o całe wieki.

Dla tego celu winny uniwersytety całej Europy połączyć się w jednolity związek, który sobie określi zadania i obmyśli środki ich spełnienia. Wyświadczyć tym wielką przysługę kulturze ludzkości.

Wiem, że sprawa ta dojrzewa w dyskusjach międzynarodowych, o czym świadczą głosy z Ameryki, czy też wnioski ostatnio opublikowane broszury „Wychowanie i Zjednoczone Narody” („Education & the United Nations”), opracowanej przez przedstawicieli wielu narodów w dyskusjach „London International Assembly”.

Jest to problem szczególnej wagi dla narodów europejskich. Wzór angielskich kolegów zapewne okaże się bardzo pożyteczny. Młodzież kontynentu europejskiego winna być skupiana w zakładach codziennego współżycia pod kierownictwem profesorów-wychowawców. Okaże to się koniecznością także i z przy-

czyn materialnych. Zniszczenie miast i całych krajów, zubożenie narodów w wielu wypadkach wprost uniemożliwi inną formę studiów. Jeśli kierownicze czynniki kulturalnego i naukowego życia narodów wczas się zdecydują przygotować do takiej roli i znajdą środki do jej urzeczywistnienia, wróć uniwersytety do ogromnej powagi wychowawczej, jaką miały w Srednich Wiekach i za Renesansu i wytworzą wśród warstw oświeconych świata ponownie „communitatem opiniorum” opartą na humanitarnym poglądzie na świat i na kulturze chrześcijańskiej.

My, Polacy, których wszystkie zakłady kształcące zostały przez wojnę zniszczone, a tak wielka ilość uczonych i profesorów wymordowana, jesteśmy szczególnie wrażliwi na to, aby odrodzenie kultury ogólnej, a życia uniwersyteckiego w szczególności, nastąpiło jak najrychlej. Umysły nasze są tym żywo zajęte.

Trzymam oto w ręku skromną broszurkę na lichym papierze źle odbitą. To tajny druk podziemnej Polski, wydany przed paru miesiącami p. t. „Golgota”. W rozdziale, wymieniającym nazwiska wymordowanych profesorów, autor opowiada („Golgota”, jesień 1942 roku, str. 13), że jeden z uwięzionych w obozie koncentracyjnym uczonych przesłał przez zwolnionego kolegę następujące posłanie: „Ciągłe myślę o przyszłym ustroju naszego wyższego szkolnictwa... Żałuję, że nie będę mógł przekazać tego, co tu obmyśliłem... Nie tracicie czasu, wy tam, na wolności, bo wszystko musi być gotowe zawczasu, inaczej cała robota zwali się od razu na kark...”

Czytamy następnie w broszurze: „Człowiek zlecający te słowa był w przededniu śmierci i wiedział o tym, jednakże nie mówił o sobie, nie uważał tego za sprawę doniosłą. Myśli jego i uwagę pochłaniały przyszłe odbudowane uczelnie polskie, pełne szczęśliwej, wolnej młodzieży. Nie żałował życia, żałował, że nie przekazał krajowi swoich przemysłów. Nie bał się śmierci, bał się tylko o jedno, że przygotowania zrobione będą za późno, kiedy tysiące problemów zwali się jednocześnie w dniu pokoju na wyniszczoną Europę...”

Dlatego my Polacy witamy wszelką inicjatywę powziętą przez Zjednoczone Narody, któraby przyspieszała zakończenie przygotowań do powojennej odbudowy zakładów kształcących.

ZAGADNIENIA NIEMIECKIE

WSZYSCY NIEMCY SĄ WINNI

Pod takim tytułem, „The Germans — All Guilty”, umieścił artykuł w styczniowym zeszycie nowojorskiego miesięcznika „Look” znakomity dziennikarz amerykański William L. Shirer. Shirer, autor słynnego „Berlin Diary”, był korespondentem pism amerykańskich w Berlinie aż do chwili przystąpienia Stanów Zjednoczonych do wojny. Zna on więc Niemcy zarówno z czasów przedwojennych, jak i z pierwszych dwóch lat wojny.

„Osobście — pisze Shirer — zaczyna mnie to już nużyć, przynajmniej w tym stadium wojny, gdy słyszę jak dobrze myślą i składają inteligentni ludzie mówią nam, że jedyną drogą do osiągnięcia trwałego pokoju — to troszczyć się, aby Niemcy byli przez nas żywione z łyczeczki po wojnie.

Po tym, co widziałem w narodzie niemieckim w ciągu ostatnich 15 lat i co wyczytałem z jego historii, mogę powiedzieć, że jest on całkiem zdolny do wzięcia tej troski na siebie. Jednym z naszych największych kłopotów będzie ograniczenie go do tej troski i pilnowanie, aby zrezygnował z „troskania się” o inne narody, to jest aby powstrzymał się od nowych prób zdobycia i mordowania nas pozostałych”.

Przeciętnego Niemca taka propaganda musi utwierdzać w woli oporu. Będzie on rozumował — tłumaczy Shirer — jak następuje:

„Słuchajcie. Nie możemy przegrać. Możemy w dalszym ciągu popierać Hitlera. Jeśli wygra, życie Niemców — bez względu na to, jak by się ono ułożyło dla Polaków, Żydów, Rosjan, Norwegów, Holendrów, Belgów, Francuzów, Anglików, Amerykan i innych — będzie cudowne. Będziemy żyli życiem pełnym dosyć, ścigając haraczę ze wszystkich pobitych narodów świata. Jeśli zaś Hitler przegra, to czyż Sprzymierzeni nie przyobiecali, że nie będą się na nas mściłi za zbrodnie przez nas popełnione, ale że przeciwnie, będą nas żywić i ubierać i postawią nas znowu na nogi?”

Shirer układa następnie w ośmiu punktach zasady, których Sprzymierzeni powinni się trzymać przy układaniu warunków pokoju.

Punkt pierwszy. Sprzymierzeni powinni zrozumieć, że żaden jeszcze reżim nie był tak doskonałym wyrazicielem aspiracji narodu niemieckiego jak hitlerizm.

Punkt drugi. „My i ludzie stojący po naszej stronie, nie możemy, a przynajmniej nie chcemy, zabić 80.000.000 Niemców. Ale możemy, sądząc, zniszczyć naród niemiecki. Oto co — z całą skrośnością — przedkładam. Współczesne Niemcy jako naród są w znacznej mierze tworem militarnego prusactwa. Uważam, iż opanowane przez militaryzm Niemcy powinny być zniszczone”.

Punkt trzeci. Trzeba Niemcy rozbroić. Punkt czwarty. Dopóki Niemcy nie będą zupełnie rozbrojeni, armie Zjednoczonych Narodów powinny okupować wszystkie strategicznie ważne miejsca Niemiec.

Punkt piąty. Należy wprowadzić ostrą kontrolę wojskową ciężkiego przemysłu niemieckiego.

Punkt szósty. Należy wprowadzić zakaz produkowania przez Niemcy samolotów transportowych. „Lufthansa była matką Luftwaffe”.

STRATEGICZNE TEORIE HAUSHOFERA *)

Gdy ostatecznie wybuchła obecna wojna, strategia niemiecka szła od samego początku po linii teorii Haushofera. A więc rozszerzanie „przestrzeni życiowej” przede wszystkim na wschodzie i unikanie starcia z marynarką brytyjską, chyba w warunkach specjalnie dla Niemców korzystnych, jak np. w cieśninach Duńskich. Dalej zajmowanie na terytorium Europy wszystkich punktów nadbrzeżnych, co do których zachodziła jakakolwiek możliwość wykorzystania ich przez flotę brytyjską. A wreszcie świadome przeciwstawianie się wzrostowi zobowiązań floty brytyjskiej na teatrach wojny bardziej odległych, przede wszystkim na morzu Śródziemnym.

Obok floty brytyjskiej istnieje równie potężna teraz, a potężniejsza w przyszłości, flota amerykańska. Neutralizacja tej floty miała nastąpić przez przymierze z Japonią, którego rzecznikiem był Haushofer już od r. 1924. Popierając jednak to przymierze, Haushofer wychodził z założeń, których późniejszy rozwój wypadków nie potwierdził. Nie przewidywał on, że Stany Zjednoczone i W. Brytania będą walczyć ramie przy ramieniu, przeciwnie, uważał, że państwa za przyszłych przeciwników i w tym tkwił jego zasadniczy błąd. Zdaniem Haushofera konflikt z Ameryką zagrażał Niemcom nie wcześniej jak po opanowaniu przez nich Eurazji, a wtedy zbrojny konflikt amerykańsko-japoński miał wyczerpać siły obydwu przeciwników, spychając ich do rzędu mocarstw drugiej kategorii, nie będących w stanie przeciwstawić się skutecznie Niemcom. Niewiadomo, czy to bystre proroctwo nie byłoby się spełniło, gdyby nie nieoczekiwana siła oporu armii rosyjskiej.

W każdym jednak razie przymierze niemiecko-japońskie jest niewątpliwie wynikiem teorii geopolitycznych Haushofera, który służył od r. 1909 do 1912 w armii japońskiej jako oficer artylerii i znał dobrze ten kraj i jego „świadomość przestrzeni”, czyli dążność do ekspansji.

Również pierwsze akty agresji niemieckiej, skierowane kolejno przeciw Austrii, Czechosłowacji i Polsce, kierowały się wskazaniami geopolitycznymi. Państwa te stanowiły z jednej strony część niemieckiej „przestrzeni życiowej”, z drugiej zaś ich położenie geograficzne uniemożliwiałoby interwencję floty brytyjskiej.

Ze Włochy przystąpiły do wojny dopiero po pobiciu Francji, należy — zdaniem autora — przypisać przede wszystkim wpływowi Berlina. Haushofer jeszcze na cztery lata przed wojną określał Włochy jako państwo o ograniczonym obszarze, bardzo wystawione na każdy atak od zewnątrz, nie posiadające zupełnie najważniejszych surowców i zależne od dobrej woli potężnych sąsiadów, o ile chodzi o transport. Państwo to, zdaniem Haushofera, posiada samo przez się tylko niewielką swobodę działania.

Trzeba przyznać, że w swych osądach Haushofer popełnił tylko niewiele błędów, te jednak, które popełnił, były decydujące. Jakkolwiek nie można twierdzić, by rząd Hitlera po prostu kopiował idee Haushofera, to jednak faktem jest, że błędy Haushofera stały się zarazem i błędami Niemiec.

Pierwszym zasadniczym błędem Haushofera było przekonanie, że W. Brytania i St. Zjednoczone stoczą ze sobą wojnę jeszcze przed starciem z Niemcami. Haushofer od samego początku nie szczędził pochwał doktrynie Manroëgo, którą uważał za pierwszy przejaw świadomej polityki geopolitycznej wielkiego mocarstwa. Sądził on, że logika tej doktryny doprowadzi St. Zjednoczone do zajęcia siłą posiadłości brytyjskich w Ameryce. Ten błąd w kalkulacji popełnił i rząd narodowo-socjalistyczny, jakkolwiek z innych powodów. Narodowi socjaliści są bowiem ścisłymi deterministami ekonomicznymi i uważają, że realizacja ekonomiczna musi z konieczności prowadzić do zbrojnego konfliktu. Ponieważ zaś taka rywalizacja między W. Brytanią a St. Zjednoczonymi istniała w wielu rejonach kuli ziemskiej, narodowi socjaliści uważali wojnę między tymi państwami za nieunikloną.

Jeśli chodzi o stosunek do Rosji, to zapatrywania Haushofera stanowiły dziwną mieszaninę bystrego sądu połączonego z pobożnymi życzeniami i niedocenianiem przeciwnika. Prawda jest, że Haushofer wskazywał już od dawna na trudność inwazji przestrzeni rosyjskiej i uważał, że najeżdżca, chcąc uniknąć losu Napoleona, będzie musiał otoczyć i zniszczyć armię rosyjską nie daleko granicy, co Niemcy usiłowali bezskutecznie dokonać w lecie 1941 r.

Nie jest zupełnie jasne, czy Haushofer uważał zwycięską inwazję Rosji za możliwą w ogóle, w każdym razie sądził on, że inwazja może być tak kosztowna, że się w ogóle nie opłaci. Omalując poprzednią wojnę, powiedział: „Walcząc ze sobą na śmierć i życie, (Niemcy i Rosja) wyciągały tylko kasztany z ognia dla swych imperialistycznych sąsiadów na Zachodzie”. W związku z tym Haushofer sądził, że jedynym praktycznym sposobem wykorzystania „obszaru sercowego” jest przymierze niemiecko-rosyjskie. To też popierał on myśl takiego przymierza już na wiele lat przed obecną wojną, jakkolwiek w latach 1936—1939, po zawarciu paktu antykomunistycznego, zachowywał w tej sprawie dyskretnie milczenie. Gdy doszło do skutku porozumienie niemiecko-rosyjskie z r. 1939, Haushofer występował jako jego zwolennik i pisał tak, jak gdyby wierzył w jego nieograniczoną trwałość. Wielokrotnie wzywał on także Japonię do wyrównania swych różnic z Sowietami i przyłączenia się do bloku sięgającego od Atlantyku do Pacyfiku.

Rozwój wypadków wykazał, że ta ocena wypadków przez Haushofera była mylna. Trzeba tu jednak wyraźnie zaznaczyć, że zarówno Hitler, jak i generałowie niemieccy, nie podziеляli obojętności tych zapatrywań i nie mieli nigdy złudzeń co do „przymierza” z Rosją. Ocena sytuacji przez Haushofera mogła mieć jednak pośredni wpływ na ich decyzje. Haushofer wskazywał stale na W. Brytanię jako głównego wroga Niemiec i tym samym mógł się przyczynić do tego niedoceniania Rosji, do którego przyznał się później nawet sam Hitler.

Bezpośrednio natomiast jest odpowiedzialny Haushofer za inny błąd niemiecki co do Rosji. Twierdził on mianowicie od lat, że Związek Sowiecki jest zlepką odrębnych narodów, który rozpadnie się na swe poszczególne części pod naciskiem natarcia z zewnątrz. Takie nadziej miały Haushofer a także i Hitler, zwłaszcza co do Ukrainy, jednak wypadki wykazały, że obydwaj byli w błędzie.

Źródła tych wszystkich błędów tkwiły w zbyt daleko posuniętej tendencji niemieckiej, by sprowadzać wszystko do pewnych ogólnych i niezawodnych prawideł. Niewątpliwie geografia jest czynnikiem ogromnej wagi w układzie stosunków politycznych, czego jasno dowodzi trafność wielu sądów Haushofera. Natomiast myli się on, a z nim cała geopolityka, uważając geografę za czynnik decydujący w historii i spychając człowieka jako takiego na drugi plan. Prawda jest coś wręcz przeciwnego, a mianowicie, że człowiek wywiera większy wpływ na geografę, niż geografia na człowieka.

Patrząc na mapę i widząc kolonie brytyjskie w ważnych punktach strategicznych Ameryki, Haushofer uważał wojnę między W. Brytanią a St. Zjednoczonymi za nieunikloną. Nie uwzględniał on jednak innych, jeszcze ważniejszych czynników — jak ekonomia, polityka i tradycja — które zabezpieczały przed konfliktem między tymi narodami. Podobnie i przymierze rosyjsko-niemieckie wyglądało dobrze na mapie i wydawało się logiczne z punktu widzenia geografii, a więc — sądził Haushofer — jest pożądane i możliwe. Faktem jednak jest, że Niemcy i Słowianie walczyli ze sobą niezliczone razy w ciągu historii i że komuniści i faszystzi znaleźli się w śmiertelnych zapasach nie tylko obecnie w Rosji, ale już i przedtem w Hiszpanii i gdzieś indziej. Niemcy uważali zawsze swój własny, gwałtowny nacjonalizm za najlepsze narzędzie do zniszczenia państw, które chcieli najeżdżać, i to tym bardziej, że państwa te posiadały na ogół mniejszości niemieckie. Nie doceniali jednak Niemcy przeciwakcji Sowietów, które od jakich 20 lat stosowały podwójną politykę: wyrównywania pewnych założeń mniejszościowych z jednej, a bezwzględnej tępienia elementu nacjonalistycznego z drugiej strony.

W zakończeniu swego artykułu autor wyraża nadzieję, że skrajny nacjonalizm stanie się dla Niemców bronią obosieczną, wywołując reakcję u uciszonych narodów i przekonywując je o tym, że przyjaźń między narodami jest najlepszą drogą do zabezpieczenia wolności dla każdego z nich.

*) „Geopolityka a obecna wojna” („Geopolitics and Today's War”, by Leonard Engel, „Infantry Journal”, Washington, May 1942. (Stręścił A. K. „Bellona”, zeszyt 2, luty 1943).

W najbliższym numerze: Ukraińcy w Polsce. Cerkiew prawosławna. — Zdzisław Bronceł: Sonety uralskie. — Melchior Wańkowicz: Krwawa ofiara u Samarytan.

GŁOWA UKRAIŃCÓW MAŁOPOLSKICH

Wpływ cerkwi grecko-katolickiej na społeczeństwo ukraińskie w Małopolsce Wschodniej był zawsze i pozostał bardzo duży. Metropolita Andrzej Szeptycki uważany jest ciągle za najwyższy autorytet moralny tego społeczeństwa.

Tak w czasie pierwszej, jak w drugiej okupacji Małopolski Wschodniej, działalność Szeptyckiego była konsekwentną kontynuacją jego dążeń do podniesienia ukraińskiej świadomości narodowej i konsolidacji społeczeństwa ukraińskiego.

Trudno podejrzewać Szeptyckiego o sympatie dla ustroju komunistycznego czy też narodowo-socjalistycznego. Mimo to przez cały czas wojny pozostał on na swym stanowisku i w ramach istniejących w jednym i drugim wypadku możliwości wywierał często dosyć znaczny wpływ na rozwój wypadków.

Za czasów sowieckich podkreślić należy działalność grecko-katolickich księży w t. zw. „selradach” („radach wiejskich”), do których wchodził on na polecenie metropolity Szeptyckiego i gdzie odgrywali przeważnie dominującą rolę. Działalność ich tam źle zapisała się w świadomości Polaków. Księża ci, przeważnie byli oficerowie armii Petruszewicza, rozwijali z reguły działalność w duchu skrajnie nacjonalistycznym i antypolskim.

Dla sprawiedliwości trzeba jednak podkreślić, że ostatnio, już za okupacji niemieckiej, krążyły po Małopolsce Wschodniej uporczywe pogłoski, jakoby metropolita Szeptycki miał instruować podległe mu duchowieństwo, że ziemie południowo-wschodnie zamieszkują również „inni Słowianie”, z którymi należy żyć w przyjaźni.

Podobno też metropolita Szeptycki miał nałożyć ekskomunikę na tych wszystkich, którzy dopuszczają się mordów. Do wystąpienia tego miały go skłonić przede wszystkim mordy dokonywane na Polakach przez Ukraińców. Wygląda to tak, jakby w planie metropolity było odegranie roli pacyfikatora nie tylko między skłóconymi ugrupowaniami ukraińskimi, ale także między społeczeństwem ukraińskim a polskim.

Jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że na takie stanowisko metropolity wpłynęło także i to rozczarowanie, jakie Ukraińcom małopolskim przyniosły rządy niemieckie. Zaraz bowiem po wkroczeniu Niemców rozwinął on wcale żywą działalność polityczną. Jednym z pierwszych jego tu poczynani było wydanie listu pasterskiego do proboszczów grecko-katolickich, polecającego im jak najintensywniejsze zajęcie się organizacją życia społecznego wsi. Patronował też Szeptycki obywatelom ukraińskim przedsięwzięciom organizacyjnym, jakie podjęte zostały po przyjeździe Niemców: utworzeniu się niefortunnie rządu Stecki i podporządkowaniu całego ukraińskiego życia społecznego Centralnemu Komitetowi Kubijowycza, z którym w tej sprawie konferował.

O UNIE KOŚCIOŁÓW UKRAIŃSKICH

Z pośród akcji, podjętych z własnej inicjatywy Szeptyckiego, najdalej sięgającą i najszerzej pomyślaną jest próba „pojednania” prawosławia z cerkwią grecko-katolicką.

Pierwszym uzewewnętrznieniem zamierzeń Szeptyckiego w tym kierunku był jego list otwarty do biskupów prawosławnych na „ziemiach ukraińskich” z dn. 30 grudnia 1941 r. Sens jego taki: w interesie narodowym ukraińskim leży zjednoczenie religijne i dlatego on — Szeptycki — wyciąga rękę do zgody i proponuje rozpoczęcie jakiejś akcji. Moment polityczny i narodowy jest jedynym argumentem, którym Szeptycki w tym liście szermuje.

Zaraz potem, bo w styczniowym numerze z r. 1942 oficjalnego organu metropolity grecko-katolickiego, „Lwiński Archiwalni Wiadomości”, ukazały się dwa okólniki kurii rzymskiej, wydane w Rzymie 10 września 1941 r., poświęcone sprawie czystości obrządku grecko-katolickiego. W okólnikach tych zwraca się uwagę duchowieństwa grecko-katolickiego na wydanie nowych ksiąg liturgicznych dla obrządków wschodnich. Zmiany, jakie obecnie wprowadzono, polegają na powrocie do obrządków z XVI w., a zatem obowiązujących w chwili zawierania Unii Brzeskiej. Ponieważ w miarę upływu czasu wprowadzono do liturgii grecko-katolickiej szereg zmian, które oddalały ją od liturgii prawosławnej, a zbliżały do liturgii rzymsko-katolickiej — obecnie chodzi o to, aby całą obrzędowość unicką odlatynizować i jak najbardziej zbliżyć do prawosławia. Intencją Rzymu było przyciągnięcie prawosławnych koncesjami w zakresie liturgiki. Pod tym względem akcje Rzymu i Szeptyckiego były całkowicie skoordynowane.

Trzecim wreszcie posunięciem Szeptyckiego był jego list otwarty, wydany dnia 3 marca 1942 r., tym razem skierowany do ukraińskiej prawosławnej inteligencji.

W liście tym rozprawia się Szeptycki przede wszystkim z zarzutem, z jakim zapewne się spotkał, że chce sam zostać metropolitą kijowskim:

„Jest rzeczą jasną, — czytamy tam, — że greko-katolik nie może zostać metropolitą kijowskim, a ja ani nie pragnę tego dostojenstwa, ani nie mam fizycznej możliwości być w Kijowie. Wkrótce zacznę siedemdziesiąty ósmy rok życia; chroniczną chorobą zapalenia stawów jestem od dwunastu lat przykut do krzesła bez możliwości stania na nogach. Choroba pozbawiła mnie prawie całej władzy w prawej ręce, a kilka razy w ciągu roku, za każdym razem po kilku tygodni,

UKRAIŃCY W POLSCE

II.

DOKOŁA METROPOLITY SZEPTYCKIEGO

pozbawiony jestem również zupełnie władzy w lewej ręce. Metropolita kijowski musi być wybrany z pośród prawosławnych czy autokefalnych archierejów czy duchownych. Gdyby był on zjednoczony z Powszechną Cerkwią (nie powiedział Szeptycki: — z Watykanem), my wszyscy greko-katolicy podlegalibyśmy mu i ja pierwszy chętnie podporządkowałbym się jego władzy”.

Takie pełne połączenie się wyznań grecko-katolickiego i prawosławnego to — zdaniem Szeptyckiego — zapewne sprawa dalszej przyszłości. Sprawa ta stałaby się realną tylko po dłuższych staraniach, wzajemnym zbliżeniu się i poznaniu. „A zbliżenie to — cytujemy w dalszym ciągu list otwarty metropolity Szeptyckiego — i wzajemne poznanie się jest konieczne dla osiągnięcia narodowej jedności. Takie zbliżenie się może kiedyś doprowadzić do zjednoczenia, ale przede wszystkim musi usunąć wzajemne rozdarcie i nienawiść, jakie sprawiają, że Ukrainiec Ukraińcowi wrogiem. Rozpocznijmy pracę nad pojednaniem się; niech ją rozpoczną i ci, którzy pragną jedności, i ci, którzy nie pragną. Na takim koniecznym pojednaniu ogromnie zyska cały naród ukraiński, a na pełnym zjednoczeniu skorzystają więcej prawosławni niż my, greko-katolicy”.

W dalszym ciągu mówi Szeptycki o sprawach liturgicznych, podkreślając więzy łączące obie religie i powołując się na obecny powrót cerkwi grecko-katolickiej do zwyczajów cerkwi z XVI i XVII wieku, które były zwyczajami cerkwi kijowskiej, dodaje, że „Cerkiew Ukraińska” niczego nie straciłaby z tych dóbr czy wartości, jakie z niej czynią dla Ukraińców cenną narodową pamiątkę przeszłości”.

List kończy się apelem do patriotyzmu

ukraińskiego: „...a każdy patriota-Ukraińiec powinien uczynić wszystko, co może, w tym kierunku. Spełniając ten patriotyczny obowiązek, napisałem ten oto list”.

Na list metropolity Szeptyckiego, skierowany w tej sprawie do biskupów prawosławnych, pierwszy odpowiedział prawosławny arcybiskup krakowski i łemkowski, Palladij. Píše on po dłuższych liturgiczno-obrządkowych dociekaniach m. in.: „...za wiadomością moją „Kirjarcha” (prawdopodobnie mowa tu o metropolicie Dionizym) mam honor zakomunikować, że ze strony cerkwi prawosławnej będziemy się starali usunąć wszelkie przeszkody, stojące na drodze do wielkiej sprawy pojednania, co przyczyni się do powrotu do stanu rzeczy z przed oficjalnego w XVI wieku rozpadu Prawosławnej Cerkwi Ukraińskiej”.

Trudno w tej chwili określić, jakie widoki powodzenia ma podjęta przez Szeptyckiego akcja. Szeptycki od dawna chce uchodzić za chorażego misji katolickiej na Wschodzie. W akcji unijnej cerkwi grecko-katolickiej i prawosławia jest on popierany przez Rzym. Cała przeprowadzana obecnie bizantyzacja cerkwi grecko-katolickiej ma za zadanie ułatwienie tych zamierzeń.

Z drugiej strony trudno się oprzeć wrażeniu, że akcja Szeptyckiego ma w dużo większym stopniu na widoku polityczno-narodowe cele ukraińskie niż religijne i katolickie. Szeptycki widzi bowiem jasno, że różnice religijne między Ukraińcami z Małopolski Wschodniej a Ukraińcami z Wołynia czy Ukrainy Kijowskiej spowodowały bardzo głęboko sięgający rozdział między tymi grupami i gotowe są doprowadzić do tego, że z czasem mogą się Ukraińcy uformować jako dwie

nacje, niczem prawosławni Serbowie i katolicy Chorwaci. Z tonu i treści wszystkich jego enuncjacji w tej sprawie wynika, że główną jego troską jako ukraińskiego patrioty jest obawa takiego rozłam. Wszystkie one pisane były raczej przez ukraińskiego patriotę niż katolickiego dostojnika, któremu leży na sercu zjednanie prawosławia dla Watykanu. W ten sam ton uderza zresztą i biskup Palladij, który z radością wita propozycję połączenia się w jedną ukraińską cerkiew, nie wspominając jednak ani słowem o jakiejś gotowości podporządkowania się Watykanowi.

Trudno więc ustalić, co jest w tej sprawie tylko taktiką, a co właściwym celem. Czy szermując argumentami narodowymi dąży do pozyskania prawosławia dla katolicyzmu, czy raczej odwrotnie, prowadząc akcję o charakterze religijnym ma się wyłącznie na myśli cele narodowe. W kołach rzymsko-katolickiego kleru we Lwowie uważa się akcję metropolity Szeptyckiego za robotę czysto polityczną bez widoków i możliwości osiągnięcia tych celów, którymi Szeptycki łączy Watykan.

AKCJA OD DOŁU

Nie poprzestając na próbach załatwienia sprawy „od góry”, poprzez episkopat prawosławny, podjął Szeptycki również pewną próbę dotarcia bezpośredniego do samej ludności prawosławnej na Ukrainie Kijowskiej. Wysłał na Ukrainę szereg księży grecko-katolickich, którzy nie legitymując się przed ludnością, czy są prawosławnymi czy greko-katolikami, nie odróżniani od popów prawosławnych z powodu zapuszczenia zarostu, odprawiają w poszczególnych miejscowościach od Zbrucza aż po Taganrog nabożeństwa unickie. Dotychczasowe doświadczenia tych księży nie wrożą akcji unickiej żadnego powodzenia. Ludność Ukrainy Kijowskiej jest tak do Unii, jak i do przybywszów „z Galicji” niechętnie, a nawet wrogo usposobiona, uważając ich za ludzi obcych. Na nabożeństwa, odprawiane przez „misjonarzy”, ludność przychodziła prosto z ciekawości, a zebranie się w cerkwi zamieniało na miting, na którym omawiane były nie sprawy religijne, lecz troski gospodarcze i materialne.

WSPÓŁPRACOWNICY METROPOLITY

Wśród współpracowników metropolity Szeptyckiego na pierwszym miejscu należy wymienić księdza biskupa Osypa Slipyja.

Szeptycki już od dłuższego czasu upatrzył księdza Slipyja na swego następcę. Zabiegi jego w tej sprawie w Watykanie zostały podobno uwieńczone odpowiednimi rezultatami i ksiądz Slipij otrzymał miał nominację na sufragana lwowskiego z tytułem biskupa in partibus infidelium i cum iure successionis.

Przed wojną nie występował ksiądz Slipij na widownię polityczną. Powszechnie uchodził za typ księdza uczonnego, stojącego z dala od spraw bieżącej polityki. Jest on profesorem Akademii Bohosłowa we Lwowie; w r. 1939 był jej rektorem. Jest też rektorem seminarium duchownego i członkiem czynnym Towarzystwa im. Szewczenki. Stosunek jego do Państwa Polskiego był nieprzychylny, choć poprawny w formach zewnętrznych. Jest to od dłuższego czasu najzaufany i najbliższy współpracownik Szeptyckiego, z którym nie tylko uzgodnione były dotychczasowe posunięcia Szeptyckiego, ale i cała linia postępowania na przyszłość. Był on pośrednikiem między Szeptyckim a biskupem przemyskim, Kocyłowskim.

Ksiądz Slipij, gdyby został metropolitą lwowskim, będzie konsekwentnym kontynuatorem dotychczasowej linii politycznej Szeptyckiego. Przy jego twardym i nieugiętym charakterze dotychczasowa nacjonalistyczna działalność cerkwi grecko-katolickiej przybrałaby prawdopodobnie jeszcze bardziej zdecydowany charakter.

Za prawą rękę metropolity Szeptyckiego uchodzi powszechnie ksiądz biskup Iwan Buczko. Jest on niewątpliwie obok księdza Kunickiego jednym z tych, którzy w kurii lwowskiej reprezentują kierunek skrajnie nacjonalistyczny.

Wedle wiadomości, podanych przez prasę ukraińską, ksiądz biskup Buczko wjechał dnia 29 lipca 1939 r. z Polski jako Apostolski wizytator dla Ameryki Południowej. Był w Argentynie, Paragwaju i Urugwaju, a misja jego została zakończona z początkiem marca 1940 r. Ponieważ wskutek sprzeciwu ze strony sowieckiej nie mógł wracać do Lwowa, wyznaczył go Rzym na biskupa wikariusza dla greko-katolików w Ameryce Północnej. Tam przebywał od maja 1940 r. Po zdobyciu Lwowa przez Niemców otrzymał on nakaz powrotu. W listopadzie 1941 r. przyjechał do Rzymu na parowcu hiszpańskim.

Jedną z osób najbardziej miarodajnych i decydujących w grecko-katolickiej kurii lwowskiej był ksiądz Kunicki. Określić go można jako mózg polityczny kurii lwowskiej. Jako poseł był w dawnym ukraińskim klubie parlamentarnym jednym z najbardziej wobec Polski nieprzejednanych. W dobie t. zw. normalizacji ks. Kunicki przeszedł z UNDO do opozycji, na której czele stali Dmytro Lewycki i Milena Rudnicka.

Po zajęciu Lwowa przez bolszewików przeszedł on na stronę okupacji niemieckiej i osiadł we Wiedniu, gdzie został prezesem Sojuzu Ukraińców Niemiec, to znaczy tych Ukraińców, którzy albo mieli, albo przejechali — było takich dużo wśród najnowszej emigracji ukraińskiej — obywatelstwo niemieckie, czyli uchodzili za t. zw. Reichsdeutsche. Związał się zatem z Niemcami bardzo mocno.

Obecnie jest z powrotem przy Szeptyckim i ciągle jest wymieniany w prasie ukraińskiej w najbliższym otoczeniu metropolity.

MISCELLANEA

Rezerwy niemieckie

W jakiej mierze ostatnia „totalna” mobilizacja mogła powetować Niemcom straty, poniesione przez armię niemiecką w ciągu ostatniego roku? Jakimi rezerwami Niemcy rozporządzają? Na pytania te stara się odpowiedzieć tygodnik londyński tygodnik gospodarczo-polityczny „The Economist” z dn. 6 marca b.r.

Aby armia niemiecka — dowodzi autor — była w lecie b. r. równie silna, jak w lecie ub. r., musi ona zmobilizować przynajmniej milion świeżego żołnierza. Dopiero wtedy pokryje swoje straty. Mobilizację tę przeprowadzić można tylko i wyłącznie kosztem wykwalfikowanego robotnika przemysłu wojennego. W jakiej mierze robotnik ten może być zastąpiony przez rezerwy niemieckiej armii pracy? Oto kluczowe pytanie dla całego problemu.

Do momentu „totalnej” mobilizacji, w niemieckim handlu detalicznym zatrudnionych było około 1.900.000 właścicieli i personelu sklepowego. Zamknięcie wszystkich sklepów, sprzedających artykuły luksusowe, takich jak perfumy czy sklepy jubilerskie, oraz ograniczenie ilości innych sklepów da tu niemieckiemu rynkowi pracy rezerwy w ilości około 400.000 ludzi. Wartość jednak tych ludzi dla pracy w fabryce oceniana jest bardzo nisko.

Pozostają rezerwy kobiece. Z chwilą wybuchu wojny Niemcy rozporządzali rezerwą 14.000.000 niezatrudnionych kobiet w wieku od 14 do 65 lat. Z tej rezerwy przedtem już zatrudnili oni wszystkie kobiety niezamężne oraz mężatki, mające nie więcej jak jedno dziecko. W ten sposób w proces wytwórczości wciągnięto 1.600.000 kobiet, ponadto około 300.000 dziewcząt posłano do przymusowych obozów pracy. Dalsze 300.000 kobiet pełni pomocniczą służbę wojskową. Obecnie Niemcy zmuszeni są do mobilizowania dla potrzeb przemysłu wojennego matek kilkorga dzieci. Rzecz prosta, kobiety takie nie stanowią najlepszego materiału na wykwalifikowanego robotnika fabrycznego. Poza tym wciągnięcie ich do pracy w przemyśle stawia Niemcy przed koniecznością stworzenia całej sieci nowych żłobków, ogródków dziecięcych i przedszkoli.

Zupełnie odpadają możliwości ściągnięcia do fabryk niemieckich nowych, jako tako wykwalifikowanych robotników z krajów podbitych czy wasalnych. W Niemczech pracuje w tej chwili około 8.000.000 zagranicznych robotników. Dwie trzecie z pośród nich pracuje w rolnictwie, handlu i w charakterze służby domowej, reszta zatrudniona jest w przemyśle. Wydajność pracy tych robotników oceniana jest ogólnie jako bardzo niska. Wszystkie możliwości sprowadzenia wykwalifikowanych robotników Niemcy wyzyskali już przedtem. Zresztą dotychczasowe mobilizacje objęły wieś niemiecką w tak szerokim zakresie, że dla tegorocznej wiosennej kampanii zasiewów brakło około pół miliona robotników. Jeśli więc Niemcom udało się nawet zmobilizować jakieś świeże rezerwy robotników zagranicznych, musieli je rzucić na wieś.

Tak więc, — konkluduje autor, — Niemcy są

w stanie powetować swoje straty poniesione w ciągu ostatniego roku. Może to jednak nastąpić tylko kosztem znacznego pogorszenia się wydajności i jakości produkcji niemieckiego przemysłu wojennego. Na miejsce robotnika wykwalifikowanego przyjdzie nowy, nie posiadający kwalifikacji i nie wdrożony do pracy w warunkach fabrycznych.

Niemcy i powojenne plany sprzymierzonych

Wychodząc w Stanach Zjednoczonych w języku niemieckim pismo „Aufbau” informuje w numerze z dn. 13 lutego, że ostatnie dyspozycje, wydane przez propagandę berlińską wszystkim agentom niemieckim w świecie, brzmią: „Trzeba próbować ośmieszać i spotwarzać wszystkie plany powojenne”.

Zgodnie z tymi instrukcjami „piąta kolumna” uprawia akcję sabotowania wszystkich planów przyszłej rekonstrukcji świata, przygotowywania warunków pokoju, układania współpracy powojennej poszczególnych narodów. Pismo uważa, że nie byłoby nic kłopotliwszego dla Hitlera nad jasne sprecyzowanie celów wojny sprzymierzonych.

Wszystkie pisma niemieckie prowadzą obecnie kampanię propagandową mającą dowiedzieć, że między U.S.A. a Wielką Brytanią panują rozdziwki co do celów i metod prowadzenia wojny oraz że Anglosasi nie interesują się Europą i chcą ją oddać na łaskę i niełaskę Z.S.R.R.

Stokowski

Leopold Stokowski, znakomity amerykański dyrygent pochodzenia polskiego (po ojcu) i irlandzkiego (po matce), wystąpił niedawno w radio amerykańskim z apelem o stworzenie w U.S.A. ministerstwa sztuki i kultury. Stokowski domagał się tworzenia w Stanach Zjednoczonych państwowych teatrów, oper i orkiestr symfonicznych. W przemówieniu swym Stokowski podkreślał olbrzymie możliwości dla stworzenia oryginalnej amerykańskiej muzyki, któraby mogła czerpać motywy z wszelkiego rodzaju amerykańskiej muzyki ludowej: z pieśni cowbojów, górali, tańców ludowych, z bogatego repertuaru muzyki Indian, z rytmów i melodii amerykańskich.

W kwietniu b. r. Stokowski dyrygował w nowojorskiej Metropolitan Opera „Ukrzyżowaniem Chrystusa”, choreograficzną wersją muzyki Bacha. Przedstawienie ujęte zostało jako średniowieczne misterium, ale w stylu uproszczonym i zmodernizowanym, z narratorem w orkiestrze, tłumaczącym widzom przebieg akcji.



OTWARCIE LETNIEGO SEZONU
WIELKI SENSACYJNY PROGRAM

Występy znakomitych artystów:

ELA ANTOSZOWNA

i
DUO CZARGOFF

Po raz pierwszy w Palestynie

Lauri Lawrence jako dyrygent znakomitej orkiestry Eric Teich

Początek o godz. 7.30. Od godz. 5-tej podwieczorki taneczne!

Raz tylko na tydzień odchodzi pociąg z Ammanu, stolicy Transjordanii, do Maanu, w południowej części tego państwa, przebiegając przez krainę pustynnych wzgórz i nagich równin o mgławym horyzoncie. Z Maan możemy już nazajutrz zrana po przybyciu pognać samochodem strażą pograniczną do Wadi Musa, miejscowości leżącej niejako „u bram” Petry, starożytnej stolicy Nabatej, a celu mej podróży. Droga prowadzi tam przez spieczone w słońcu pagórki, porośnię chudą trawą, na której pasą się stadka wielbłądów i owiec. W dolinach widać niekiedy płowe i zielone płyty pól i sadów morelowych. Czasem spotykamy ludzi: Arabów Libdul o surowych twarzach, spowitych w czarne „abaya”, obwieszonych pasami z amunicją i uzbrojonych w karabiny i długie noże. A nad nami niebo bez chmurki i słońce jak lampa ognista.

Za jakimś zakrętem, wśród wzgórz ukazuje się nagle widok rozległy: wielka dolina, zamknięta w dali zębatego szeregów szczytów czarnych i ostrych, rysujących się twardo na szklistym błękitnie nieba, a u ich podnóża — podłużna grobla skalna, na kształt ciężkiego, żółtawego cielska. Za tą groblą, w pierścieniu gór, niby w niedostępnej fortecy, leżało handlowe miasto dziwnego ludu, bezpieczne od najeżdżów drapieżnych koczowników pustyni.

Jesteśmy w kraju biblijnym: gruby wierzch za nami zwie się Dżebel Harun (Góra Arona), a dolina u naszych stóp — Wadi Musa (Dolina Mojżesza). Sama zaś Petra znana jest nam z biblii pod nazwą Sela, czyli „Skala”. Pierwotna nazwa została więc poprostu przetłumaczona na łacinę w późniejszych czasach.

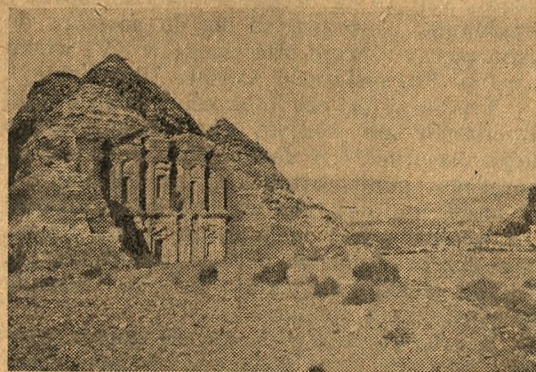
W tym gnieździe górkim mieszkali początkowo Edomici, ale potem wyparli ich, przybyli z południa, arabski lud Nabaitu i tu założyli swoją stolicę. Nabatejczykom nie obca była kultura hellenistyczna, nawet jeden z ich królów, Aretas III, nosił przydomek „Philhellenos”. Miasto, leżące na „kadzidlany szlaku”, po którym ciągnęły liczne karawany, wiozące z południa ten tak ważny w ówczesnym życiu produkt, liczyło według Strabona 30 tysięcy mieszkańców. Dostawczy się później pod panowanie rzymskie, Petra stała się stolicą prowincji Arabii. Był to jednak początek jej upadku — w dwa wieki potem rozsypała się w gruz i została tak gruntownie zapomniana, że dopiero w roku 1812 odkrył ją szwajcarski podróżnik Burckhardt. O jej dawnych mieszkańcach, Nabatejczykach, wiemy naogół niewiele: ich obyczaje i religia są nam przeważnie nieznane. Byli to w każdym razie Semici, pokrewni Żydom, prawdopodobnie jednak bliżsi Arabom. Niektórzy uważają ich wprost za plemię arabskie. Początkowo zapewne koczownicy, później osiedlali się w miastach na szlakach handlowych, będąc z usposobienia ludem kupców i przewodników karawan. Byli oni w pewnym sensie poprzednikami Palmyreńczyków, którzy także, osiedliwszy się na wielkim karawanowym szlaku, dzierżyli przez czas jakiś prym w handlu między Wschodem i Zachodem, między Morzem Śródziemnym a Persją.

Opanowawszy Petrę około VI w. przed Chrystusem, po wyparcie Edomitów, Nabatejczycy zdołali się uniezależnić od różnych władców Syrii i Egiptu w pierwszym stuleciu

WTOLD RAJKOWSKI

SKALNA STOLICA ARABII

przed naszą erą. Aretas III Philhellenos zdołał nawet rozszerzyć granice swego państwa aż po Damazek (87—62 rok przed Chrystusem), później jednak utracił to miasto. Jego następcy znajdowali się w położeniu raczej krytycznym, między Rzymem a państwem Partów, jednakże Aretas IV dzięki zręcznej polityce zdołał uzyskać od cesarza Kaliguli posiadanie Damazku, którego władcą był w czasie nawrócenia św. Pawła. Od tego czasu jednak państwo nabatejskie było szybko popadające w coraz większą zależność od Rzymu, aż w r. 106 zostało przez Trajana obrócone na Prowincję Arabię.



„Ed Deir” — świątynia wykuta w skale.

Nad doliną Wadi Musa wznosi się mały fort z wieżyczkami na rogach i zębatego blaskiem żandarmom. Dowódca ich, sierżant, pośredniczy z urzędu przy wynajmie przewodników i koni. Mój przewodnik, imieniem Chalil, wyglądem przypominał raczej wiesniaka egipskiego niż Transjordańczyka, klaczka zaś, jaką pod wierzch dostałem, niestety — egipskiego białego osiołka...

Droga nie jest zbyt daleka: wymaga godziny czasu. Najpierw przejeżdża się przez wieś (labirynt krętych uliczek wśród chałup o płaskich dachach) a następnie w dół, na dno doliny. Na zboczach, pracowicie starosawianych, rosną winnice i morelowe sady. Niewiele jednak tego: tuż na prawo rozwiera się długi wąwóz Wadi Zyrabca, a na lewo skalne masy, przeorane doliną, tworzą coś w rodzaju gigantycznego koryta. Dno wyschniętego potoku zasypane jest kamieniami, a po obu stronach rosną kępy oleandrów, okrytych różowym, słabo pachnącym kwieciem. W żółtawych zboczach widać otwory: wejścia do grobowców. Kilka z nich wyciosane z pojedynczych bloków kamiennych, wygląda jak sześciennie ołtarze. Nieco dalej, wejścia do dwóch grobowców odmienniejszej formy, umieszczone jeden nad drugim, sprawiają wrażenie niezgrabnego frontonu świątyni, zwłaszcza że nad wejściem do górnego sterczy szereg obelisków. Dzięki jasno-żółtej barwie skały i zamazaniu przez czas

kształtów rzeźb, wydają się one jakby ulepione z surowego ciasta.

Zostawiamy za sobą wreszcie ową ogromną naturalną „groblę”, którą widziałem dojeżdżając do Wadi Musa, a która tworzyła prawy stok „koryta”. Przed nami dźwigają się teraz kamienne masy barwy ciemno-czerwonej o brunatnym odcieniu, przerznięte przepaścistą szczeliną wąwozu Es-Sik. Gdyby nie zielone, różowoczerwone kwiaty upstrzone kępy oleandrów, ta półmroczna cień wyglądałaby jak droga do czeluści Hadesu. Po obu stronach skały niby mury, wysokie na wiele dziesiątek, setki może całe metrów, czerwone, miedziane lub rdzawe, czasem jakby stoczone przez jakieś potworne korniki. Boczne szczeliny, zda się, wyrębane toporem, posępne, mroczne. Wąwóz miejscami zwęża się tak, że zaledwie dwóch jeźdźców mogłoby się minąć.

Wtem, za jednym z zakrętów, wyrasta przed nami dziw: wykuta w ścianie tak różowej, jak kwiaty oleandrów u jej podnóża, świątynia o frontonie wspartym na korynckich kolumnach, z których jedna została niestety kiedyś utracona, tak że sterczy po niej tylko ułamany trzon. Wyżej wznosi się rodzaj pawilonu, ozdobionego misternymi rzeźbami. Środkowa jego część ma kształt wieżyczki z kopułką, wspartą na kolumnkach. Całość wyniosła, ale zdumiewająco lekka, mimo swego niejako wtłoczenia w litą skalę, w jakiej jest wykuta. Świątynia ta, niegdyś poświęcona Izydzie, nosi obecnie arabskie miano „El-Chazne” (Skarbiec), a legenda miejscowa mówi, że gałka na szczycie kopuły na wieżycę zawiera skarb „Faraona...”

Dalej Es-Sik zwęża się znów, ale już tylko na chwilę. Potem otwiera się, uchodząc do bardzo szerokiej doliny, otoczonej ze wszech stron czerwono-brunatnymi ścianami skalnymi, poprzerzynanymi przez głębokie żłebki i wąwozy. Wszędzie widać niezliczone otwory. Niektóre skały wyglądają jak opróżnione z miodu plasty. Inne znów pokryte są rozplyniętymi jakby, czy też zamazanymi, rzeźbami w postaci nawiązków wykutych w kamieniu kolumn i wieżeczek. Dno doliny nie jest równe: stanowi ją wyższe i niższe pagórki, częścią porośnię trawą i drobnymi krzakami, to znów zasypane ułamkami kamieni. Łóżysko potoku wiję się między wzgórzami, wytężone buketami oleandrów. Na niektórych wzgórkach widnieją rozsypane się z gruz resztki dawnych gmachów: świątyń, term, domów mieszkalnych. Sterczy nad nimi w dali samotna kolumna.

Jeden ze skalnych masywów, wznoszących się w głębi nad doliną, zwany El-Habis, służył zapewne kiedyś za Akropol-cytadelę; obecnie w wykutych w jego ścianie izbach mieści się „hotel” dla turystów. W czasie moich tam odwiedzin był on pusty, za wyjątkiem kilku gotych łózek żelaznych. Biwakowali tam strażnicy ruin, trzech Arabowie, z których najstarszy miał minę przebiegłego obwiesia, drugi zaś, obłądowany krzyżującymi się na piersiach pa-

sami, naszpikowanymi amunicją, wyglądał cokolwiek na przygłupka; zato trzeci był zgrabnym, młodym chłopcem o typie górala. Wszyscy zresztą byli dla mnie bardzo uprzejmi i uczynni, może z powodu nadziei sutego bakszyszu, a może z istotnej, arabskiej gościnności...

Tuż poza El-Habis znajduje się ujście wielkiego wąwozu, a raczej całego splotu dzikich parowów, biegnących stromo pod górę. Istny labirynt przepaścistych szczelin, wyrw, wąskich przejść pod urwistymi ścianami. Skały barwy ciemno miedzianej, a wśród nich kępy zielonych krzewów i drzewek. Tu i owdzie niby puste okno — wejściowy otwór starożytnego grobowca.

Wysoko ponad wąwozami znajduje się obszerna, dość łagodna, otwarta pochyłość. Po jej prawej stronie, w potężnym bloku skalnym, którego boki są szorstkie jak pumeks, wykuto największą ze świątyń Petry, zwaną obecnie przez tubylców „Ed-Deir” (Klasztor). Styl ten sam co El-Chazne, ale brak tej lekkości kształtów i delikatności ozdób: jest wielka, ciężka, o dolnym piętrze jakby przynięcionym przez wyższe. Znajdujące się w górnym pawilonie nisze na posągi są puste i wyglądają jak zamurwane okna. Wnętrze stanowi posępną, mroczną halę z resztkami zburzonego ołtarza.

Z przełęczy, którą kończy się pochyłość, rozpościera się widok wspaniały na zebate szczyty, dzierzące straż nad umarłym miastem. W blasku słonecznym wyglądają czarno, jak z lśniącego antracytu. A na zachód, jak okiem sięgnąć — chaos skał, wzgórz, wąwozów, ciągnący się ku Wadi Araba, za którą leży Palestyna.

Niewiele chyba siedzib ludzkich, nowych czy dawnych, żywych lub wymarłych, posiada otoczenie tak wspaniałe i pełne potęgi jak Petra, Miasto-Skala. W tych masach górskich, koloru zakrzepłej na słońcu krwi, z daleka czarnych jak z węgla, jest jakaś przytaczająca wielkość, z którą porównać można tylko bezmiar złotych i czerwonych horyzontów Palmiry. Wielkość tę musieli odczuwać także i dawni mieszkańcy tych miejsc, skoro wznosili swe świątynie i ołtarze w górskich wąwozach i na szczytach. Gmachy i grobowce starożytnej Petry nie odznaczały się zbytnim artystycznym — raczej dziwacznością kształtów. Zdumiewający jest jednak ogrom pracy, włożonej w ich wykonanie — wykucie tych gmachów w litych opokach. Piękno zaś ich jest dziełem natury, która dała im tak niezwykle a wspaniałe, pełne dantejskiej grozy, barwy i ogromu otoczenie.

WAŻNE DLA P.P. WOJSKOWYCH

Mundury wełniane i drolchowe oraz wszelkie artykuły i galanterię wojskową po cenach konkurencyjnych poleca firma

GUR-ARIEH

(Właśc. A. Gurman)

Zamówienie na miarę wykonuje się we własnej pracowni w ciągu 24 godzin

TEL - A V I V, ul. ALLENBY 83

JAN ST. BYSTRON

EMIR RZEWUSKI

(Dokonczenie)

Emir, mimo całej swej tendencji do zerwania z kulturą europejską, chętnie zbierał wszelkiego rodzaju muzealia; wspomina on o minerałach, które troskliwie chował dla ks. Staszica, o wielkim rzeźbionym głazie, który wynalazł wśród gruzów Baalbeku i przeznaczył dla Świątyni Sybilli, mówi wreszcie o nabytku dla siebie, któremu nadzwyczajną przepisywał wartość: kupił mianowicie miecz Gotfreda de Bouillon, ukradziony w Jerozolimie przed kilkudziesięciu laty (oczywiście autentyczność tego miecza nie jest bynajmniej rzeczą pewną). W Palmirze miał znaleźć emir marmurowy posąg Nioby, zasypany w piasku; chcąc przekonać beduinów, że marmur ten powinien wywieźć z pustyni, zwołał ich i przemówił do nich w taki sposób (mowa, odtworzona z pamięci, nie jest może dosłownie wierna, ale cały pomysł emira wydaje się prawdziwy): „Bałwany skruszone! Arab depece po szczątkach fałszywych bogów. Kurzawa zaślepiła bałwochwalców w sławnym dniu bitwy pod Beder, kiedy archonion Gabriel na rumaku Haisim hetmanów chórom dziesięciu tysięcy aniołów, przepasanych ognistymi szarfami i w ognistych koronach, a płomień buchał z nozdrzy niebiańskich srokaczy...”. Po tym wstępie doszedł emir do istoty rzeczy, przypominając o istnieniu plemion arabskich w kraju północnym nad berłem wielkiego Skandera (cara Aleksandra), z których i on, Tadz El Fehr, pochodzi, i wyraził chęć zabrania ze sobą posągu pogańskiego, aby beduińskie plemiona północy zniszczyć bóstwo bałwochwalców. Mowa ta widocznie nie bardzo przekonała zebranych, skoro gdy tylko posąg wykopano i postawiono prosto, któryś z Arabów porwał kamień i zgruchotał nim marmurową głowę; „trysnęła iskra, jak prawda wydobyta ze steku kłamstw”, dodaje Rzewuski. Po do-

konaniu tego obrzędowego zniszczenia zaczęto rznąć barany na święto i uczutowano przez całe trzy dni, poczem posąg tak uszkodzony włożono na wielbłąda, który przewiózł go do Sydon, a stamtąd już drogą morską z rozmaitymi perypetiami dostała się Nioba do Odessy, potem do majątku Rzewuskiego w Kuźminie, a wreszcie do świątyni Sybilli w Puławach.

Złotobrody emir beduinów był jednak nie tylko archeologiem, ale także i poetą; pełna wspomnień i nastrojów Palmira pobudziła go do twórczości. Tutaj więc powstał dłuższy poemat, w którym emir nierymowanym wierszem odtworzył swe wrażenia, na pół żywiołowe, ale i też i na pół literackie.

Trudno powiedzieć, by emir miał talent pisarski; niewątpliwie jednak miał on dużo odczuć poetyckiego. Niektóre jego obrazy mają swoisty urok wschodni i przypominają czasem nastroje sonetów krymskich, na których powstanie, być może, pośrednio wpłynęły, jak np. hymn ranny beduinów Wehabitów:

Już trzykroć namazowym odezwał się głosem Moazyn niedojrzany powietrznej świątyni, Już hołdownem nuceniem śpiące zbudził echa I lazurom ogłosił witanie natury.

Na łonie świeżej róży Andelib drzemający Światła źródłom otwiera gościnną żrzenię, A upojony parą pachnącego łoża, Obok wonnej pościeli stroi wdzięczne tony.

Wśród wybujałych trawek kwicistej przestrzeni Gazela parszająca potrójnym poskokiem Rubinowych otrząsa łańcuchów ozdoby Na włos jej rozrzucone szczodrobliwą nocą.

Woniami Hindostanu mile przywitane Toczą się lotne fale nieśmiałej jutrzeźki Zalewają wiszący ocean ciemności I unosząc się, gaszą gwiazd drżących pochodnie.

Stało się. — Dzień wystąpił.

Przypominając sobie Mickiewiczowskiego Farysa, kasydę na cześć emira Tadz El Fehra ułożoną, widzimy, że i tu możnaby widzieć pewne zbieżności czy podobieństwa. Podobno Mickiewicz, wracając z Krymu, miał spotkać na stepie Rzewuskiego, prowadzącego życie koczownicze, jak gdyby na pustyni arabskiej; kto wie, może także poznał jego poetyckie pomysły?

Ale mniejsza o te zagadnienia wpływologiczne; dość że Rzewuski czuł się poetą i chętnie sam siebie oglądał w poetycznej aureoli. Ostatecznie także literackie tło miała wizyta u słynnej „Królowej Palmiry” lady Hester Stanhope, która zadziwiwszy świat śmiałą wyprawą do Palmiry; osiadła w opustoszałym klasztorze maronickim Mar Elias w Libanie, zanim następnie nie cofnęła się w odległy zameczek górski, Dżun, aby tam na odludziu kontynuować fikcję swego władztwa. Cała wyprawa Angielki na Wschód miała ekscentryczno-literackie podłoże, podobnie zresztą jak i podróże Rzewuskiego — nie dziw więc, że emir postanowił złożyć uszanowanie swej koleżance.

Jak się odbyło spotkanie tej osobliwej pary, nie wiemy całkiem pewnie. Mamy o tym coprawda dwie relacje, Estery o Rzewuskim i Rzewuskiego o Esterze; pierwsza jest krótka, raczej życzliwa, ale zresztą obojętna, druga zaś długa, entuzjastyczna, fantastyczna. Angielka wspominała o pobycie Rzewuskiego swemu lekarzowi, Meryonowi, który spisał jej opowiadanie, mówiąc, że „count Rewisky” jest „noble minded man”, i stawiała go jako przykład szlachetności związanej z wielkim rodem, nie zapomniawszy jednak dodać, że hrabia jej pochlebiał w ciągu rozmowy i że przyjechał w stroju beduińskim na koniu, wartości najwyżej stu piastrow (uważała bowiem, że ma

monopol znawstwa koni wschodnich). Rzewuski jest pełen zachwytu i rozlewności lirycznej: opowiada szeroko, jak to otrzymawszy uprzejmą odpowiedź na swój list, odkryty białym emirskim płaszczem wyjeżdża z Saidy w góry, aby po parugodzinnej jeździe dotrzeć do samotnej siedziby królowej Palmiry, mieszczącej się na letnim mieszkaniu w opuszczonej kapliczce arabskiego derwisza — i trzechkrotnie drzewcem kopii, zwyczajem beduińskim, uderza we drzwi. Po zwyczajowym przyjęciu przez służbę i spełnieniu rozmaitych obrządków, emir, chcąc wyrazić swe uszanowanie i podkreślić swą beduińskość, wchodzi boszo do pokoju, gdzie czekała nań Estera. „Łubom przywykły do obcowania z monarchami i innymi wielkościami, — pisze Rzewuski, — jednakowoż czulem się zmieszany i wzruszony na widok tej istoty czczonej jak bóstwo na pustyni”. Istota ta była — wedle opisu emira — kobietą czterdziestoparoletnią, wzrostu słusznego, kształtnej kibi, łączącą powagę majestatyczną z wdziękiem kobiecym; miała na sobie biały płaszcz emirski, na głowie zaś beduińską kefię w żółte i zielone pasy, opietą białym turbanem. Przyniesiono kawę i nargile. Zrazu panowała między nimi pewna ceremonialna oziębłość, „ze wzajemnego podziwu”, ale gdy Rzewuski, spytany o pochodzenie, oświadczył, że jest Polakiem, który nie ma nikogo na świecie, tułaczem i wygnańcem, który pośród wolnego ludu pragnie używać tej wolności, nie mogąc jej znaleźć w ojczyźnie, zaczęła się bliska i serdeczna konwersacja. Tak przynajmniej twierdzi Rzewuski. Jak długo trwała ta wizyta i cała znajomość, nie wiemy. Ze wspomnień Estery odnosimy wrażenie, że Rzewuski raz tylko był jej gościem i że pozostawił sympatyczny, lecz całkiem bladą pamięć. Emir pisze, że był u Estery po raz pierwszy przez dzień, następnie znów dzień, za trzecim razem zaś siedemnaście dni; sama lady miała mu wyszukać miejsce na namiot i kazała na pobliskiej skale wyrzeźbić tajemniczy znak. Dni schodziły im na zabawianiu się końmi, wieczory zaś i noce spędzali na długich rozmowach; tematem ich była Europa i Wschód, a także i wyznania nieszczęśliwej miłości „nie-

1. Kombatanci i neutralni.

W potocznych rozmowach najczęstszym tematem jest wojna. Niesłusznie. Przeżywamy nie jedną wojnę, lecz cały ich bukiet. Przyśpieszając do zwykłego wyliczania państw belligerentów, od razu spotykamy niebyle jakie dziwaki. Np. Związek Sowiecki niewątpliwie należy wciągnąć na listę, ale z drugiej strony figurować musi także na spisie neutralnych. To samo Japonia. Skomplikowana jest też rola Finlandii, Bulgarii, Hiszpanii, Francji i t.d. i t.d. Powstaje taka sytuacja, że okręt sowiecki z Ameryki przez wody japońskie mógłby wnieść broń do walki przeciwko Niemcom, a znowu okręt hiszpański mógłby z tejże Ameryki przywozić broń, która użyta będzie na froncie antysowieckim. Bez formułowania zarzutów, że tak się dzieje, należy stwierdzić, że jest to możliwe, i właśnie dlatego nie wolno mówić o jednolitej wspólnej wojnie, lecz o dość luźnej kombinacji wielu wojen oraz o związanej z tym ich przewlekłości.

Istnieje jeszcze druga ważniejsza przyczyna, nie rokująca szybkiego końca, a tą przyczyną jest brak wspólnego dowództwa. Pamiętamy, jak trudno było prowadzić wojnę 1914—1918, choć miała ona punkt ciężkości na jednym teatrze, dopóki nie zadominowały wpływy Clemenceau i dopóki nie zapewnił on formalnego autoretu rozkazodawczego i rzeczywistej egzekutywy Fochowi. Wypisywane przez podrostków na murach żądanie drugiego frontu nie ma żadnego wpływu na zharmonizowanie działań przeciwko Niemcom lub Japonii i stworzenie dla nich groźby na zachodnim wybrzeżu Pacyfiku, lub wschodnim Atlantyku. Mężowie stanu wydają się nadmiernie przeniknięci paradossem Clemenceau, że wojna jest zbyt poważną sprawą, aby powierzać jej losy wojskowemu. W rezultacie oprócz tego, że brak wspólnego sztabu generalnego, ponadto w poszczególnych państwach czynniki wojskowe mają jedynie głos doradczy. Kino, prezentując „Desert Victory“, zdradziło nam, że w Anglii rozkazy operacyjne dla generałów podpisuje niski stopniem wojskowym Winston Churchill.

2. Jednolitość dowództwa.

W tych warunkach wystarczy wyobrazić sobie, że Niemcy podobnie jak we wrześniu 1939 r. ufne, że odsiecz na czas nie nastąpi, rzuca całość swych zwłaszcza lotniczych sił na jeden jedyny teatr wojenny. Jaką będzie wtedy procedura reakcji? Sztab zaatakowanego państwa „A“ gromadzi meldunki. Przesyła je pośpiesznie sztabom państw „B“ i „C“. Dotąd idzie wszystko szybko, ale tu zaczyna się sprawdzanie, czy nie ma w tym przesady, bo przecież żaden sztab nie może ufać całkowicie obcemu, choć sojusznicznemu sztabowi, następnie referowanie sytuacji mężom stanu, a ci z kolei poczną rozważać, czy położenie innych wojen, prowadzonych bez udziału państwa „A“, pozwoli na udzielenie pomocy państwu „A“.

Dla przeciętnego czytelnika gazet, powyższy przykład nie posiada tragicznej wymowy, gdyż lektura dzienników wzbudza przeświadczenie, że Niemcy są już w schyłku sił i postradały potencjał zaczepny. W czasopiśmie fachowych inaczej oceniają rzeczywistość. Na

JERZY GAŁECKI

WOJNY W ROKU 1943

wiosnę w Londynie poważnie rozpatrywano możliwość i szanse inwazji na wyspę brytyjską, a dotąd jeden dzień w każdym tygodniu jest poświęcany w Anglii i Szkocji na ćwiczenia w zachowaniu się w czasie inwazji, w których uczestniczy cała ludność bez różnicy płeć i wieku. Niemcy ciągle jeszcze są groźne.

Jeśli chcemy, żeby wojna prędzej się skończyła, to należy porzucić demagogiczne, niemal głupawe domaganie się nowych frontów, a odwrotnie trzeba, żeby opinia publiczna pojęła konieczność złączenia poszczególnych wojen i wojenek w jedną jedyną, wspólną wojnę, prowadzoną pod jednym, jednolitym naczelnym dowództwem. Trudności realizacyjne będą olbrzymie, bo niełatwo marszałek Stalin zgodził się podlegać Mac Arturowi, albo generał Wawell słuchać Ciang-Kai-Szeka. Prostu postać wielkiego wodza naczelnego nigdzie się jeszcze nie zarysowała dotąd realnie i tylko wizje literackie wyprowadzają te trudności, odnajdują rozwiązania, stawiając na czele wojsk bloku genialnego wodza — murzyna, który osobiscie wraz ze ścisłym sztabem oblatuje eskadrą samolotów wszystkie teatry wojenne, wszędzie znajduje posłuch i uzgadnia koncentryczne współczesne ofensywy likwidujące wojnę.

Jeśli przypomnieć rolę decydującą odegraną w r. 1813 i 1815 przez generałów malarcejkę wówczas armii pruskiej, przy uzgadnianiu wspólnych operacji wielkich armii angielskiej, austriackiej i rosyjskiej, zwłaszcza po Waterloo, kiedy groziło, że wszystko skończy się połowicznym zwycięstwem wskutek

rozbieżności między Aleksandrem i Metternichem, oraz wyczekującego stanowiska Anglii, to narzuca się wniosek, że i w obecnych wojnach nie należy przeceniać roli tak zwanej czwórki olbrzymów.

3. Koniec Napoleona.

Po Waterloo jedynie Prusacy parli do natychmiastowego zajęcia Paryża i zmusili resztę sojuszników do działania. Jeśli wspomnieć ten przykład konkretny inercji, choć miała ona formalnie Naczelnego Wodza, jeśli rozważyć znaczenie Prusaków, jako czynnika katalizatorującego zdarzenia, to bez przeprowadzenia analogii wyciągnąć można ogólne wnioski teoretyczne. Analogia między Prusami po Jenie i Polakami po Wrześniu jest niedopuszczalna dlatego, że Jena była katastrofą nie tylko wojskową, ale także moralną. Berlin poddał się bez strzału. Twierdze pruskie otwierały bramy na widok kawalerii Muratą lub Lassalle'a. Król pruski patronował zdradzieckiemu współdziałaniu z Napoleonem. Podczas wyprawy moskiewskiej, korpusy pruskie pokornie uczestniczyły u boku swego pogromcy. Z takiego upadku, znikczemienia i upokorzenia Prusy, dzięki garści ludzi wytrwałych w opozycji przeciwko własnemu królowi i rządowi, potrafiły wydobyć się i wystąpić na drogę błyskawicznego odrodzenia i szybkiego wzrostu. W 1813 r. nagle jak z pod ziemi, wszędzie gdzie koncentrują się armie antynapoleońskie aliansu, wyrasta garść ochotników pruskich, przybierając buńczuczne nazwy Freikorpsów, zaś oficerowie pruscy przebie-

JADWIGA CZECHOWICZ

Czemu sercu smutno?

W Twoim pokoju ściany, barwy jesiennych liści,
I każdy kąt tajoną zasnuwa się tęsknotą
I czeka — razem z Tobą — na moje, wiem to, przyjście.
Jest coraz szarzej, mroczniej, za oknem wiatr i ślota.

Jak cicho, zegar tylko coś mówi swym szelestem,
Nie zdradził Ci twój pokój największej mojej krzywdy,
Bo Tobie wciąż się zdaje, że oto znowu — jestem,
A zegar nieostrożny, tak głośno szepce — nigdy...

Ty nie wiesz, że me myśli, jak ptaki na uwięzi,
Co noc uparcie biją skrzydłami w Twoje okna,
A Tobie się wydaje, że wiatry gną gałęzie,
Że lipy nasze stare, wiosennym deszczem mokną.

Ty nie wiesz, że pod niebem błękitnym niby wieczność
Tak wiele mieszka tęsknot i bólów tak okrutnych,
Twój pokój się przyodziął w witania blask serdeczny,
A mrok poza oknami łka... czemu sercu smutno?...

gają z jednej alianckiej kwatery głównej do drugiej i dokańczają dzieła cementowania, które zaczęli już przedtem w stolicach w Petersburgu, w Wiedniu, Stockholmie, Londynie, niezawsze zresztą bez trudności i zwiedzania więzień zamiast pałaców.

Nauka stąd płynie, że sprężyna poruszająca mechanizm wojenny koalicji nie zawsze pochodzić musi z tych samych zasobów, co największe liczebnie armie i największe środki materialne. Każda koalicja ma z natury rzeczy swe momenty bezwładu i gorsze jeszcze momenty odśrodkowe. Sprężyna i łącznik są nieodzowne. Nam bardziej niż innym zależy, żeby działały one dobrze. To zadanie mogą wykonać nasi generałowie i oficerowie sztabu generalnego. Opinia publiczna winna tego od nich wymagać.

4. Przegląd wojen.

Zgodnie z rzeczywistością, nie można się dzisiaj, dotąd przynajmniej, zadowalać przeglądem frontów lub teatrów wojennych, lecz trzeba rozpatrywać całą wiązkę wojen. Dzienniki przynoszą pod oszołamiącymi nieraz tytułami wieści o bitwach i bombardowaniach. Czytelnik musi obchodzić globus wokół, żeby przyjrzeć się po kolei Tunisiowi, Birmie, wspomnieniu Salomona i frontowi rosyjskiemu, a nagle jego uwagę skupia wiadomość o opanowaniu przez USA wysp Fina-Futi, położonych o 1000 km. na północ od Fidżi, a 2000 km. na wschód od Salomona. Od metrampaży zależy, co więcej wbije się czytelnikowi w pamięć, podczas gdy naprawdę Fina-Futi ma może nie mniejsze znaczenie dla końca wojny, niż Bizerta, bo ostatecznie losy rozstrzygają się na oceanach. W dawnych wojnach często decydowało sformowanie poważnej przeszkody rzecznej. W tym celu należało zdobyć przyczółki, zbudować mosty, przeprowadzić główne siły i stoczyć zwycięską bitwę. Te wszystkie elementy występują w obecnych wojnach, tylko rolę rzek spełniają morza i oceany, a rolę mostów okręty. Jak w poprzednich wojnach nawet po opanowaniu przyczółków mostowych na nieprzyjacielskim brzegu poważniejsze operacje mogły się rozwijać dopiero po zorganizowaniu przepraw, tak samo tym bardziej teraz bezpieczne mosty transoceaniczne są warunkiem wstępnym do decydujących bitew.

Tylko wojna niemiecko-sowiecka toczy się na lądzie, ale rozległość frontu stwarza tutaj szczególne warunki operacyjne. Przesuwanie się pół bitew o dwiesięć-trzynaście kilometrów na wschód lub zachód z punktu widzenia strategicznego można traktować jako błądostkę. Teoretycznie i jedna i druga strona może sobie pozwolić na manewr odwrotny o wiele głębszy. Kwitnie w tej wojnie taktyka raczej scytyjska niż nowoczesna i o rozstrzygnięciu tam wojny na szali bitew w wielkim stylu nie ma w tej chwili mowy dla żadnej ze stron. Jest to typowa, mimo pozorów, wojna kunkatorska, na znużenie, czasami przerywana nieciekawym, z punktu widzenia sztuki wojennej zwycięstwem, osiąganym przez monotonne uzyskanie przewagi liczebnej w wybranym rejonie działania. Trudno przypuścić, żeby na tym teatrze leżało jakieś Fina-Futi zbliżające konsekwentnie do pokoju.

Jeśli tak dalej sprawy się będą toczyć, to nie będzie ani wojny, ani pokoju.

wolnika znaku“. W alegatach do rękopisu Rzewuskiego znajduje się spory fascykuł listów skierowanych do lady Stanhope; przypuszczalnie są one pisane ex post i nigdy nie były wysłane, choć autor ich twierdzi, że pisywał je w namiocie pomiędzy jedną a drugą rozmową w ciągu tych kilkunastu dni.

W korespondencji lady Stanhope, troskliwe zebranej przez jej siostrzenicę, księżnę Cleveland, nie znajdujemy odpowiedzi na te listy; nie ma ich też w papierach Rzewuskiego.

Jest rzeczą zdumiewającą, jak dalece człowiek, który istotnie tyle widział i przeżył, mógł jednak żyć czasami tak papierowym życiem! Widocznie literatura sto lat temu była czymś nierównie istotniejszym niż dzisiaj.

Nie odtwarzamy tutaj szczegółowego planu podróży emira. Wiemy, że zwiedził bardzo dokładnie całą Syrię i wjechał głęboko w Arabię, że był w górach Metulaisów i oglądał stare zamki krzyżowców. Nie owiadamy także szczegółowiej udziału Rzewuskiego w zamieszkach w Aleppie, których był mimowolnym uczestnikiem i którym dużo poświęca miejsca; było to późną jesienią 1819 r. Szczegółowie udało mu się ująć cało wraz z dworem i taborem z niespokojnego miasta do portu w Latakii, poczem z rozmaitymi przygodami, trapiiony brakiem pieniędzy i nieufnością władz, które podejrzewały go o czynny udział w rewolucji alepińskiej, samowtór z mamelukiem Saidem konno jadąc z Tarsu, dociera do Stambułu, gdzie staje w końcu lutego 1820; w końcu czerwca jest już w swym Kuźminie, gdzie zastał ruinę majątku. Dumne kohejlany, z takim trudem zdobyte na pustyni, zafantowane przez wierzyteli, wędrowały tymczasem do Francji. Można sobie wyobrazić, jakim ciosem dla hrabiego były te zawody. Dziwnym trafem wszystko się skończyło jak najlepiej. Francuzi nie reflektowali na nieznane im konie, wierzyteli woleli więc zwrócić araby Rzewuskiemu, a natomiast zabezpieczyć się na jego rozległych dobrach. W kwietniu 1821 siedemdziesiąt osiem kohejlanów, pod wodzą koniuszego Schlittera i opieką Sokoła, stanęło w Sawranii; na powitanie ich wyjechał Rzewuski w stroju beduińskim w towarzystwie Saída.

Z czasem też przybyły skrzyżmie ze wschodnim dobytkiem emira, wykupione z niewoli negocjantów konstantynopolańskich.

Na stepach Sawrańskich powstała więc mała Arabia; ekscentryczny hrabia żył na sposób wschodni, na koniu, pod namiotem, gości na sposób beduiński podejmował. Śmiało się sąsiedzi, niektórzy i oburzali, przypuszczając, że potomek hetmanów się zbismuranił; lubiono go jednak powszechnie, a urok niezwykłych przygód, o których chętnie opowiadał, dodawał mu walorów towarzyskich. W pamiętnikach współczesnych niejednokrotnie mamy wzmianki o emirze, który zajmował i bawił całe ówczesne społeczeństwo kresowe; ot, wyminki „Wspomnień“ Aleksandra Jełowickiego: „Ognistej wyobraźni Wacław nosił złotą brodę, car ostrzyć kazał; nosił czerwony saraфан, a ten podarł się; zniknął strój, a zostały tylko obyczaje arabskie. Jak do nas zajechał na polowanie, to rozbijał namioty na dziedzińcu i tam koczował.... uczył nas po wschodniemu obchodzić się z koniem, ciskać dziurym i wywijać spisa, a dla przypomnienia sobie chwil w Arabii spędzonych lubił pokazywać, jak się Arabowie modlą; do swoich koni, choć się w Sawranii porodziły; mówił po arabsku; u siebie częstował potrawami arabskimi, których nie można było wziąć w usta, to też nikt u niego nie zagościł, ale gdzie był gościem, to wszędzie mu radzi, bo czy to nucił piosenkę dumę, czy słodką mową bajął o arabskich oazach i rozkoszach piaszczystej pustyni, czy też czytał jaki ułamek z podróży swojej, czy też rozprawił o koniach albo o dziejach świata, zawsze miło go było słuchać, bo w mowie jego pełno było wdzięku, w opowiadaniu pełno było życia, co silnie w nim wrzało i rade było choć w słowach parować... W komnatach jego pełno było bogatych sprzętów i broni kosztownej, pełno osobliwości ze wszystkich części świata, a nie było gdzie spocząć wygodnie. Zdaje się, że nie było rzeczy, którejby Rzewuski nie umiał, bo to i wojownik, i mąż stanu, i dziejopis, i wieszcz, i muzyk, i malarz. Tworzył opery, malował bitwy, pisał poematy; wiele ciekawych rzeczy po nim zostało, ale tak jak i on gdzieś zaginęło. Szkoda, bo byli między

innymi poezje pisane wierszem nierymowym, pełne wschodniego ognia i pięknej polszczyzny. Lubiałem czytać te jego poezje, a on lubił ich słuchać z zamrużonymi oczyma...“ Dość chętnie zaglądał Rzewuski do Krzemienia, gdzie był zawsze chętnie widzianym i podziwianym gościem salonów; miał być ulubieńcem kobiet. Wspomina o nim jeden z pamiętnikarzy krzemienieckich, Stecki, opisując czasy największej świetności Aten włojskich: „Tu widziałem Wacława Rzewuskiego, który jadł i spał przy koniu arabskim, nosił się po turecku, ściany arabskimi językami popisał, tylko wodę i fajkę zawsze częstował, na spadziście górę zamkową konno wjeżdżał, a zakreśliwszy na kuli ziemskiej trójkąt, zapytywał napróżno uczonych, jakie tu narody w trzecim wieku ery chrześcijańskiej tulały się, czasem ciskał dziurym, komponował arie i zaglądał w pugilares, gdzie obok miniatury żony miniaturę klaczy swojej trzymał“.

Z czasem sentymenty jego poszły wyrażnie w kierunku kozackim, zgodnie z modą ówczesnego romantyzmu i idealizmu ludowego; słuchał dumek Tymona Padurzy, konspirował nieco politycznie, i jeździł po stepach w kozackim już przebraniu. W czasie powstania został szefem szwadronu jazdy, uformowanej przez obywatelstwo podolskie, brał udział w bitwie pod Daszowem. Ostatni raz widziano go na polach daszowskich 14 maja 1831 w ludowej świtce ruskiej. Czy poległ w bitwie, czy też został — jak wieść nosi — zamordowany przez chłopów, niewiadomo. Jak gdyby dla uzupełnienia tej tajemniczości, którą się Rzewuski całe życie otaczał, także i śmierć jego była zagadką i niedocieczona.

Tworzył się legendy; mówiono, że wrócił na Wschód, aby tam pędzić wolne życie beduińskie. Istotnie, znaleźli się samozwańcy.

W dalekiej Arabii żył w kilkanaście lat później ktoś, kto mieniał się być Rzewuskim. Kto to był, nie wiemy.

Doktor Hermanowicz, który długie lata spędził w służbie egipskiej, jako lekarz wojskowy, i uczestniczył w rozmaitych wyprawach, dowiedział się w czasie podróży do

Hedżasu, że jakiś Polak mieszka na Dżebel Karat, na górze w pobliżu Mekki; nosił on miano Hadajad Bej i zażywał wielkiej powagi u Arabów, którzy doń udawali się jakby na pielgrzymkę, z religijnym uszanowaniem. Hermanowicz wraz z inżynierem tureckim Eminem Bejem odłączając się od korpusu wojsk, maszerujących ku Mece, i odwiedzając tajemniczego starca; oto opowiadanie lekarza, tak jak je zapisał M. Mann:

„Hadajad Bej mieszkał w małej chałupce na samym szczyście góry; posługiwała mu jedna tylko czarna niewolnica. Stanąwszy przed domem, zsiadł z koni, a przywiązawszy je do drzewa, weszli do izby.

„Ujrzałem przed sobą — mówił p. Hermanowicz — starca wysokiego wzrostu, z długą siwą brodą, z bystrym wejrzeniem, miernej tuszy, ubranego po arabsku w maszlaku. Pozdrowił nas wschodnim zwyczajem.

— Przywódo ci podarek — rzekł do niego Emin Bej, siadając na dywanie.

— Jaki podarek? — spytał Hadajad Bej.

— Twego rodaka — wskazując na mnie, odpowiedział inżynier.

— Pan jesteś Polakiem? — spytał mnie wtedy po polsku starzec, przenikliwym mierzając okiem.

— Tak jest — odpowiedziałem — lecz jeżeli to Beja, dziwi, nierównie większe sprawia we mnie zdziwienie słyszeć język ojczysty w miejscu tak dla Europejczyków niedostępnym.

— O, ja tu bardzo dawno mieszkam, mam osiemdziesiąt lat i wszelkie prawa mieszkanka przy grobie proroka... Nazwisko moje Rzewuski, o resztę mnie proszę nie pytać, bo już nie pamiętam i pamiętać nie chcę“.

Hermanowicz, który widział osobiście Rzewuskiego, wspominał o tym dziwnemu samozwańcowi, jak gdyby pragnąc zeń pośrednio coś więcej wydestakować, ale na tym rozmowa polska się urwała i przeszła w konwencjonalny dyskurs arabski. Emin Bej podał jeszcze Hermanowiczowi parę szczegółów z biografii tajemniczego Polaka; miał on być dłuższy czas w Persji i zostawił tamże dwóch synów, Ali Beja i Zejlan Beja w służbie szacha.

Čłonkowie Komitetu nie wszyscy znali się między sobą, więc każdy bystro poglądał dokoła, żeby wśród nieznajomych wyłowić twarz przybysza stamtąd. Po chwili wielu obecnych zatrzymało uwagę na drobnym panu z chudymi rysami, z neurasteniczną mógłą w koło oczu. Kobiety uśmiechały się doń ukradkiem, chyląc głowy, a mężczyźni właśnie od niego odwracali wzrok. Wreszcie minister usadowił się za biurkiem, inni pozapadali w fotele, zaszurali krzesłami, chrząknęli...

— Państwo pozwól, — rzekł minister, — że w ich imieniu przywitam tak drogiego gościa. Miałem już kilkakrotnie to wielkie wzruszenie i przyjemność mówienia z nim. Ale nie wątpię, że utrafił w myśl państwa, wyrażając raz jeszcze radość, iż dane nam jest mieć wśród siebie wysłannika Kraju...

Kiedy minister tak mówił, spojrzenia wielu zebranych biegly ciągle ze czią do chudego pana. Tymczasem na krześle w pobliżu ministerialnego biurka ktoś się żywo poruszył i wtenczas dopiero stwierdzono, że tam nie gdzie indziej siedzi ten, którego nikt nie zna.

Był młody, wysoki, ciemny, miał na sobie ubranie i krawat tak dobre, że niezauważalne. Ani koloru, ani kroju tych rzeczy nie można było wyodrębnić z ogólnego wrażenia. Z kartką w ręku siedział na swoim krześle lekko, wąsko, jak gdyby oszczędzał miejsca i uwagi zebranych. Powieki trzymał spuszczone, szerokie brwi wyrażały spokój. Kiedy opadły go spojrzenia wszystkich, te brwi nie drgnęły i powieki nie podniosły się. Minister mówił dalej, wytuszczając cel konferencji i temat referatu gościa. Przy tym, na znak serdeczności, zataczał w jego kierunku ramieniem. „Czy pan gotów?” — spytał wreszcie. Nieznajomy powieki podniósł. Oczy były duże, szafirowe, mało ruchome. „Tak, — rzekł; — czy mogę przysunąć się jeszcze bliżej biurka, bo rzeczy powiadane chciałbym wykreślić z notatnika?” Uśmiechnął się błyskawicznie i bez reszty. Jak u dziecka, uśmiech — znikszy — nie pozostawił na twarzy śladu żadnego uczucia.

Rozpoczął referat od zastrzeżeń. Wymienił dość długi szereg kwestii pierwszorzędnej wagi, o których mówić nie zamierał. Ściśle wyznaczył teren, na jakim wolno go pytaniami dosięgać. Żeby z góry wykluczyć nieporozumienia, ustalił terminologię polityczną, zaznaczając, że są to nazwy „brutalne”, nie pokrywające treści zjawisk, które w okupowanym kraju od dawna przekroczyły granice terminów, ustalonych przed wojną. Mówił opornie. Zanim wydobyl z siebie zdanie, przyglądał się surowo czemuś dla niego bardzo wyraźnemu, niewidocznemu dla reszty obecnych. Najoczywiejsze dopasowywał słowa do konkretów odległych, które nie wypuściły go ze swego kręgu. Wiele zjawisk niespornych zaopatrzył w określenie „tak zwane”. „Tak zwany” kraj. „Tak zwane” społeczeństwo. „Tak zwana” lewica czy prawica. Charakteryzując obecną postać tych zjawisk (charakterystyka dotyczyła szczupłego zespołu cech, objętych tematem), wydawał się patrzeć w ich nową treść, nieznaną swobodnemu światu. Z tego bodaj przymusu transponowania rzeczywistości jeszcze nie nazwanej na język nieaktualnych konwencji płynęła trudność wyślowienia.

Nieznajomy wyrażał się ogólnie i bezosobowo. Nie stosował przymiotników do akcji wroga, ani też do akcji tych, co go zwalczają w warunkach urągających normalnej grze sił. O pieniądzach i o wyrokach śmierci mówił tonem identycznym. Powiedział np., nie modulując głosu i tyle tylko dają folgi między zdaniem, ile wymaga oddech: „Za regularnie dostarczany czytelny biuletyn radiowy płaci się osobom zaufanym dobrze i regularnie. Wyroki śmierci za słuchanie radia wykonywane są bezapelacyjnie. Szanse niewpadnięcia przy słuchaniu są nieskończenie małe. Komunikaty londyńskie drukuje się in extenso. Opinia informowana jest szybko”. Nie było w tym żadnej sztuczności. Była logika. Dla wolnego świata potworna, dla podbitego naturalna.

To, co referował, miało pokwitować pewną agendę działalności emigracyjnej. Pokwitowanie nie wypadło pomyślnie.

— Tam chcą prawdy — mówił. — I uzyskują prawdę. Ale muszą jej szukać okólnymi drogami. Przez kraje neutralne. Przez Overseas Service. Bo stąd ona nie przychodzi. Stąd przychodzi optymizm. Zachęta. Otucha... To jest zbędne. Za to nie warto umierać.

Znowu wyrzekł słowo „umierać” w ten sposób, jak tutaj wymawiano „bulić”. W jego interpretacji obie te czynności zostały zrównane — płacenie życiem i płacenie pieniędzmi. Zrównane także zostały sprzedażne dobra: tutaj — obiad, garnitur... Tam — byt narodu, honor człowieka...

Nieznajomy wyraźnie zdawał sobie sprawę z paradoksalności i krótkotrwałego sensu takiego wyrównania. Żenowało go to, iż musiał tym znakiem równości operować na terenie, gdzie los nie zmuszał jeszcze wszystkich do jego przyjęcia. Oczami, postawą dawał znać, że docenia trudności słuchaczy w pojmowaniu nienormalnego świata i że za te trudności świat normalny przeprosza.

Raz tylko kurtuazja referenta stajała pod falą uczucia.

— Te samoloty stracone przez naszych — powiedział i wzrok mu się zapalił. — Ten „Orzeł”, ten „Sokół”, ten „Wilg”...

Przerwał. Pozdrowił pewnie w myśli tych ze świata normalnego, którzy również płacą życiem, kupując dobra nieuchwytnie.

Następnie przeszedł do postulatów polityki krajowej. Wyszczególnił różnicę programów partyjnych. Kiedy z akcentem przekonania przedstawił postulaty „tak zwanej brutalnie” prawicy, jegomość w zielonym ubraniu mruknął: „To jest prawicowiec”. Zaraz później

MARIA KUNCEWICZOWA

NIEZNAJOMY

OPOWIADANIE

gość sformułował zadania „tak brutalnie zwanej” lewicy i pan w ubraniu szarym nachylił się do sąsiada: „Byczo, to jest lewicowiec”. Gdyż stanowisko lewicy miało w nim komentatora nie mniej wymownego. „Może centrum?” szepnęła blondynka. Ale o centrum głucho było w sprawozdaniu stamtąd, gdzie wyroki życia są cięższe od wyroków śmierci.

Różnice między prawicą a lewicą istniały więc po dawnemu. Były to jednak różnice „brutalnie tak zwane”, skoro z raportu wynikało, że tam i lewicowcy i prawicowcy umierają za to samo — za wolność. Uprzytomniwszy sobie ten fakt, obecni dowiedzieli się już bez zdziwienia, że ani lewica, ani prawica nie są skłonne do ustępstw na rzecz ościennych potęg.

Na zakończenie gość przytoczył jeszcze jeden dezzyderat od „tak zwanego” kraju. „Tak zwany” kraj nie życzył sobie, żeby propaganda nazywała go cierpiącym. Żądał, aby go nazywano walczącym.

Nastąpiła z kolei część nieformalna wieczoru: pytania. Ludzie ożyli się. Pragnęli dawno wyjść poza ogólniki, przekroczyć oficjalny dystans, zwyczajnie gadać z rodakiem. Nie chodziło im tyle o komunikat, co o prywatne wskazówki stamtąd, o informacje stąd — chodziło im o kontakt. A także — kto wie, czy nie najbardziej — o wytłumaczenie sobie wzajemnie, dlaczego oni tu, tamci tam i jakie są wspólne szanse.

Niektórzy nawet wstali z krzeseł i pogarnęli się w stronę przybysza, szykując dżonie do uścisku. Ale wysłannik siedział nadal na swoim krześle wąsko, lekko, z rękami skrzyżowanymi na kolanach, z kartką papieru znaną teraz we czworo, ujętą w dwa spokojne, cienkie palce. Siedział w charakterze kogoś tak przypadkowego, przelotnego... Kogoś, z kim zawieranie znajomości osobistej nie może mieć żadnego sensu. Zebrani cofnęli się na swoje miejsca. Sekretarz zapisywał do głosu, minister go udzielał. Pierwszy zapytał o jakąś sprawę techniczną kierownik pewnej agendy rządowej. Podczas gdy jakaś się i czerwienił, przybysz patrzył nań, jak przed chwilą na biurko, a jeszcze przedtem na własne paznokcie: uważnie i bez uczuć. Do odpowiedzi przystąpił nie natychmiast. Ważył coś w sobie, czy przypominał, czy wybierał...

— To nie należy do mojego działu, — odrzekł w końcu, — pan może się tego dowiedzieć inną drogą. — Wszystkie podobne pytania zlikwidował tak samo, zawsze po namyśle.

Z odpowiedzi powiało wielkim chłodem. Chłodem nie z tego świata. Wyjaśnienia, o

które proszono, nie naruszyłyby Tajemnicy, dostarczone być mogły w rezultacie drobnego wysiłku pamięci, a omyłka w nich nie spowodowałaby nieszczęść. Wysłannik odmawiał tego drobnego wysiłku, czy też tej nieważnej omyłki. Sprawa cuchnąca ranami, więzieniem i śmiercią — zapytanie od wolnych, odbierane przez niewolników podziemnych „inną” drogą — dla niego od tej sprawy dopiero zaczynała się skala wysiłków i omyłek. Dół twarzy pokryty miał niewielkimi sinymi bliznami. Może połknął kiedyś zagraniczne pytanie i nie chciał szczerę rozwierać, kiedy oprawca kuł go w zęby ostrym, przypadkowym narzędziem?

Jedno było pewne: przybysz płacił obojętnością wszystkim ludzkie ceny za wolność w roku pańskim 1943 i nigdy nie kupował dla siebie. Odwykł więc od darochy. Odwykł także od pomyłek, za które egzekucja zbiorowa nie grozi.

„Co to znaczy? — ktoś szepnął — Dlaczego on nie chce mówić?” Ktoś drugi wzruszył ramionami: „Psychoza”.

Tymczasem wysłannik sam przerwał milczenie.

— Kraj się dziwi, — powiedział, — że państwo tak mało żądają danych. My wprawdzie materiały przesyłamy wiele, ale w radiofonii światowej tego materiału nie słycać. Jeśli więc o kraju głucho teraz, kiedy jego sytuacja w świecie jest tak wspaniała, to pewnie nasz materiał nie jest ten, co trzeba. Czemu nikt stąd nie żąda materiałów właściwych?

Zapanowała cisza. Minister mrugał forsonnie, niektórzy poczerwienieli, inni zbledli, ktoś przerażony syknął, ktoś się głośno zdziwił: „Ooo, sytuacja wspaniała?”

Gość, zadawszy swoje pytanie, siedział nieco mocniej, pochylony do przodu.

— No, tak, sytuacja wspaniała, — powtórzył, — wkład wojskowy i polityczny kraju w tę wojnę jest przecież olbrzymi.

Jakieś pół-szaleńcze, pół-sprytne uśmiechy przewiały po twarzach. Głowy poderwały się w tył, powieki opadły, dech zamarł, jak u ludzi, którzy w rozpedzonym pociągu zauważyli na tym samym torze pociąg inny, pędzący im naprzeciw. Czerwony od krwi, pociąg widmo... „Nie zawarliśmy armistice’u, nie mamy Quislinga” — dyszał ten pociąg coraz wyraźniej, coraz bliżej, głośnie.

Londyńscy pasażerowie skurczyli się. „Nie zawarliście armistice’u, nie macie Quislinga, — zażęgnywali pasażerowie z kraju, — wiemy jaki wieście wkład: męstwo bezbronnym, nieprzekupności zgłodzińskich, szczodrość nędzarzy. Chwała wam! Ale zatrzymajcie się w pędzie, zanim nas zmiażdżycie. Bo

przepaść jest za nami! Bezdenna przepaść normalnego świata”.

— Więc pan sądzi, — odezwał się minister, — że radia Ankary, Zurichu, Stockholm, nie mówiąć oczywiście o Londynie, Washingtonie i Moskwie, czekają tylko na moje materiały stamtąd?

Gość powoli odwrócił głowę w stronę przylatującego fotela. Wyglądało na to, że ów fotel, wypełniony grubym, brodatym ministrem, wydał mu się pusty, bo szerokich brwi unosił nieco z wyrazem zdziwienia. Po czym odwrócił wzrok ku lampie, milczał. Natomiast osoby dotąd obojętne zaczęły naraz reagować.

Chichotano, błyskano oczami, napastliwość skupiała się raz w jednym, raz w drugim kącie sali... Nieznajomy nie podał za ściągę lokalnej intrygi. Składał i rozkładał swoją kartkę. Nieprzenikniony, czekał.

Znowu nastała cisza. Człowiek, siedzący pośrodku, nie miał więc żadnych zainteresowań tutejszych? Niczego tu nie chciał odgadnąć, wytryfować, z niczego obojętnie skorzystać? Kimże był w końcu? Inteligent? Tak. Ale jego czasowniki miały twarde, jak gdyby chłopięce akcenty. Cienkie, długie palce? Tak. Ale kiedy mówił o nadziejach „ludu”, głos jego nabierał proletariackiego brzmienia. Doskonały garnitur? Tak. Ale kolnierzyk od koszuli przetarty. Narzeczcie ani wschodnie, ani zachodnie, ani południowe. Słownictwo ani bogate, ani biedne. Młody lecz ze spokojem starca. Spokojny, ale silny, jak ktoś, co o starości nie wie.

Co wiedział naprawdę? Czego się spodziewał? Z jakiego domu wyszedł, idąc po raz pierwszy do szkoły? Jaka matka go pieściła, jaki ojciec go karał? Gdzie jest to miasto i ta wieś, które złożyły się na obraz jego świata? I skąd, od Boga czy od Szatana, otrzymał siłę przedzierzgnięcia się z chłopca w osobę mitologiczną, w posła od wszechmocnych nędzarzy do bezsilnych ministrów, w posła Tajemnicy?

— Jeszcze jakieś pytania? — pytał grzecznie.

Pewien brunet zerwał się z krzeseła, poczerwieniał, pierś mu falowała, zrobił gwałtowny ruch ręką, usta otworzył — i tak zastygł. Po chwili, nie wymówiwszy słowa, usiadł.

Wreszcie z rogu pokoju, zza pleców innych ludzi, podniósł się głos nieśmiały:

— Proszę mi nie odpowiadać, jeżeli nie można. Jednak zapytam o dwie rzeczy: kto bierze górę w kraju, prawica, czy lewica? I czego kraj pragnie — wojny długiej, czy krótkiej?

Nieznajomy po raz pierwszy w ciągu wieczora okazał niepokój. Cofnął się na swoim krześle, wargi mu drgnęły. Skoncentrował wzrok na jakimś dalekim punkcie.

— Kto bierze górę? — powtórzył wolno — kto... — zastanowił się i nagle, jak zbudzony ze snu, krzyknął prawie: — Nie wiem, tego nikt nie wie.

Urwał. Znowu zapadł w myśli i znowu wynurzył się z nich, wstrząśnięty.

— Co do wojny... Kraj owszem, wie. Wie, że historyczna racja stanu państwa wymaga wojny długiej. Biologiczna zaś racja narodu wymaga wojny krótkiej.

Po oczach wysłannika przeszedł cień, zrenice pociemniały i zgasty. Dokończył cicho:

— Jak najkrótszej.

Zrobiło się straszno. Cień z oczu wysłannika przeszedł na całą salę, czerniał i zgęstniał. W tej czerni dopiero dojrzeć było można tamtą stronę świata — strefę nieobecnych, strefę, z której pędził na spotkanie światu tutejszemu pociąg-widmo, wiozący „materiał”: trupy cywilne, sine, zielone, albo białe jak mgła, ciała męskie, ciała kobiece okaleczone przez tortury, przez mroź, przez głód, miliony dziecinnych szkieletów, stada oszalałych matek, tłumy jeńców utapianych w błocie, przez które tunelami podziemnymi uciekli, miliony wysuszonych mózgów, spuchniętych brzuchów, nieulekłych serc. Pociąg pędził sam, bez maszynisty, bez palacza, jak rakietą śródgwieźdźna, wstrzelona przez Ziemian ku Marsjanom. Pędził wysoko, pędził szybko, pędził niezawodnie — i Ziemianie, którzy taki „wkład” w niebo wystrzelili, mieli prawo sądzić, że ich sytuacja w świecie jest sytuacją „wspaniałą”.

Członkowie Komitetu zrozumieli to i było straszno... Ale pora dinner’u nadeszła w londyńskich jadłodajniach; zebranie musiało się skończyć.

— Więc kraj wie — podjął ten sam nieśmiały głos. — I my wiemy. Jakież stąd wniosek? Która racja jest ważniejsza: historyczna, czy biologiczna? I co my tutaj mamy robić?

Nieznajomy powstał. Tak powstał, jak dzień powstaje z nocy: tajemniczy, mogący znaczyć wszystko, mogący znaczyć nic.

— Wniosku nie ma — rzekł. — Co jest ważniejsze, tego nikt nie wie ani tutaj, ani tam. A co wy macie robić? Róbcie swoje. Gdzieś, kiedyś może zejdą się te drogi.

Ruszone do wyjścia, nie przedstawiając się gościowi i nie żegnając go. Nazwiska tutejsze, formy tutejsze, nie miały znaczenia tam. On zaś nie posiadał nazwiska, ani żadnej formuły na użytek tu.

Londyńczyki wychodzili śpiesznie. W drzwiach od windy stał ów drobną pan z chudymi rysami, z neurastenią we wzroku, ten pan, którego zrazu część zebranych wzięła za wysłannika. Bardziej jeszcze niż przedtem wyglądał, jak Chrystus. Kobiety nagle rozczuły się i obstępowały go. Niektóre szepem wymieniały swoje nazwisko. „My się jeszcze nie znamy”. Przyjacieli go zaczęli: „No co, Nieznajomy przywiózł ci może wiadomości od żony?” Chudy pan otarł łzę na rzesie. „Nie, nie przywiózł”. Kobiety ścisnęły jego dłoń. Nareszcie ktoś cierpiał i mówił w sposób zrozumiały.

LUDWIK BIESIADOWSKA

RZECZY NIEWAŻNE

I

Sypie śnieg, świecą lampy obcego miasta, Wieczór jest trochę dziwny i trochę smutnawy. Błąkam się w cudzych ulicach, idę cudzymi śladami, Idę w mrok przed siebie bez obawy. Coś mi w duszy wciąż płacze, Coś w nie żyje i wzrasta I kształtuje w świadomość jasną, która boli. Tyle jeszcze będę wędrować, lecz wiem, że żadna z dróg twoich Nie przetnie się ze szlakiem mej zabłąkanej doli.

II

Taki codzienny ranek I pośpiech i gwar codzienny, Za minut dwadzieścia zbiórka. Za pół godziny marsz. Tak prędko dokądś idę, Oświeć się twarz przelotnie, Ktoś papierosa zapala, Przystaję, serce ścisła cichutko i boleśnie Nagła, nawrotna fala — Przychodziłeś dziś do mnie we śnie.

MARIA PETRY

KARMEL

Cyprysy, chłonąc pejzaż senny i pionowy, mówią z pionów wysmukłych nad rozległy Karmel: „Nie całuj morza — niebo, niebo opalowe, smugami chmur różanych, bo zgubisz horyzont. A wtedy biały żagiel, żagiel rozwieszony w tle (jak kontur japoński nad perlową niżą) od fal się zacznie płonić, z nad morza porywać i w ciebie, niebo, płynąć — i horyzont mijać, gubiąc senną myśl steru w mgłach zaróżowionych. Któż wtedy powie morskie „O! ave Maria?”

Karmel-Haifa, maj 1941.

A JEŚLI TRĄCĘ...

... a jeśli trącę rytmem, czy dźwiękiem, już nadpływają nieustannym najściem inne — I rośnie i nabrzmiewa harmonijny wiersz soczystym miąższem melodij płynnych — I już — przeze mnie dźwięcznie drga i już — beze mnie śpiewa o lepkiem zapachu lip, o rozszumiałych wieczyscie drzewach.

Oto jest ciągły śpiew, oto jest ciągły rytmem odwiecznej Rytmiczności, i to hymniczna melodia najpiękniejszej Melodyjności. A ja — mózg, rozpięty w myśl, ja — serce, boleśnie natężone jestem dla melodij tych dalekim — rozdręganym — kamertonem.

(„Moje słowa”).

PODHALANIE W NORWEGII

8 kwietnia 1940 r. Niemcy napadły na Norwegię. Brygada Podhalańska, licząca 5.000 ludzi, została wysłana na pomoc. Zafundowano nas w Brest 22 kwietnia na 3 statki francuskie.

7 maja wylądowaliśmy w Harstad. Miaszeczkę położoną o 60 km. od Narviku. Podhalanie zostali rozproszeni po górach, brali udział z różnych stron w koncentrycznym ataku na Narvik.

Narvik został zdobyty, ale wypadki we Francji zmusiły Aliantów do odwołania całego Korpusu Ekspedycyjnego. Rozparcelowani na wielu statkach Podhalanie wracali grupkami do Francji. Ostatni Podhalanie opuścili Norwegię 7 czerwca.

Gdy płynęliśmy morzem irlandzkim, jeden żołnierz tłumaczył kolegom: „Tu na prawo jest Anglia, a tam na lewo jej kolonia”. Większa była znajomość karabinu, niż geografii wśród Podhalań. Gdzie tak naprawdę ta Norwegia i co to za jedna — przeważnie nie wiedzieli.

Dziwili się więc Podhalanie w Norwegii skałom ogromnym, fiordom głębokim, domkom zawieszonym nad przepasciami, bezludziu, śnieżnym leżącym wszędzie, choć to był maj...

Dziwili się i Norwedzy na widok Polaków; tak mniej więcej, jakby się dziwili mieszkańcy Gniezna we wrzesniu, widząc Lapoczyków przybywających im na odsiecz. Niektórzy nawet domyślili się o co chodzi:

„Straciliście Ojczyznę, więc chcecie u nas się osiedlić, prosimy bardzo, miejsca nie brak...”

Jakież śliczne są Norwedzi: wysmukłe, zgrabne, o mięciutkich włosach, jasne blondynki, z zadartymi noskami, wiecznie uśmiechnięte.

Gdy wylądowaliśmy, każda zwiślała u ramienia żołnierza angielskiego; po upływie pół dnia dłoń bóstwa tuliła się do podhalańskich peleryn. Ale przybyli Francuzi w dwie godziny przymagnesowali wszystkie dziewczęta.

— Chodźcie na mleko — zapraszali na migi Anglicy naszych skwaśniałych chłopaków.

W Norwegii była absolutna prohibicja. Prócz krowiego mleka nic nie było do przepłukania gardła.

Ujrzawszy nas obławianych futrami, grubymi rekawicami, płaszczami, szalami, wysokimi walonkami, nausznikami, nartami, — całym polarnym ekwipunkiem, Norwedzy pokładali się ze śmiechu. Mimo śniegu na górach i nocnych przymrozków, chodzili w rozchełstanych koszulach, uważali, że jest lato i panują nieznośne upały.

Wiele trudu zadali sobie szoferzy, aby zamalować na niebiesko reflektory swych aut. Na miejscu okazało się to również nieistotne; noce były jasne, że nie tylko czytać gazety, lecz zbierać szpilki na drodze można było o północy. Norwedzy upierali się jednak wozio wojsko na swych małych kutrach tylko nocą, przez ostrożność, żeby lotnicy niemieccy nie zobaczyli.

Oczywiście, nic to nie pomagało. Mało jest dróg wokół Narviku; wąziutkie szosy, na których nie da się rozminąć; z dwóch ciężarówek jedna musi zlecieć w przepaść — co chwila utykają w fiordach; na przestrzeni 50 km. trzeba się przeprawić trzy razy promem.

Cudowne są te szosy uciepione do skał, wijące się nad fiordami. Norwedzy nigdy z nich nie korzystają, zbudowali je dla turystów amerykańskich i angielskich, co upierają się jeździć wszędzie samochodami. Rozsądni tubylcy jeżdżą wszędzie statkami.

Dziesiątki naszych aut stały przeważnie beczynnie, gdzieś dobrze zamaskowane w lesie, a transport wojska, amunicji, bagażu odbywał się drewnianymi kutrami. W niezliczonych fiordach, cieśninach, zatokach warowały angielskie pancerniki i destroyery. Nieraz gdy samolot niemiecki dojrzał pykawkę wiozącą żołnierzy i zniżał się, by ją poczęstować bombą i poszatkować z c.k.m.-u. rozlegała się zza skały potężna salwa. To okręt wojenny przychodził z pomocą.

W Polsce w jednej izbie gnieździ się pięć osób; Norwedzy piszcza: — Jesteśmy biedacy, nie mamy. — I na każdą osobę wypada pięć pokoi. Narvik liczy zaledwie 8.000 mieszkańców, a jest wielkością Przemyśla czy Siedlec.

— Ile ty masz morgów? — pytali się nasi żołnierze swych chłopów-gospodarzy.

— Nie wiem, mam 7 krów.

Mlekodajne bydło, nie ilość bezużytecznych kamieni jest tu skalą bogactwa.

Z Hvokvig, wioski najbliższej położonej Ankenesu — przedmieścia Narviku, uciekli wszyscy mieszkańcy. W zburzonych domach rozstosował się nasz drugi batalion, żołnierze gramolili się na górę strzelać do Niemców, a w wolnych chwilach doili na dole opuszczone krowy. Choć konserwy obrzydły, nie zarznięto ani jednej. Po zajęciu Narviku, gdy front odsunął się o 30 km., paru kmiołków odważyło się zażyć do swej wioski.

— Żyj! — wolali radośnie, głaszcząc krowy, — żyją, a więc nie jesteśmy zrujnowani.

W Sorvig jedna drużyna zamieszkała w krowiarni; część bez okien, ze szparami ciemna i zimna, oddano do jej dyspozycji. W części skanalizowanej z bieżącą wodą, z oknami, ciepłej i widnej zostały krowy.

Wojna, to wulgaryzacja podróży; Niemcy zwiędają dziś Europę tankiem; przyjemniej by było poznać Norwegię, tak zachwalaną dawniej przez Orbis, wycieczką „Batorym” do fiordów. Ale nie utkwiałyby napewno tak w pamięci jej uczestnikom, jak strzelcom Podhalańskim.

Karol Zbyszewski.

Stepy i afrykańskie polesie

Dwa warczące i brzygające pianą kola pchają w górę rzeki statek, który przypomina znane nam z filmów amerykańskich ciężkie „Koraby” z czasów Marka Twaina, poruszane dwoma olbrzymimi kołami, ale jednocześnie na widok tej dziwnie zbudowanej arki Nilu przypominają się Wisła ze swymi statkami, ostrożnie wymijającymi mielizny.

Statek, z którego widać monotonne brzozi rzeki, posuwa się powoli, bo nie tylko ciągnie za sobą drugi mniejszy statek z pasażerami drugiej klasy, białymi i zlekką już kolorowymi, ale prócz tego obciążają go cztery płaskie barki, naładowane rozmaitym towarami i sprzętem. Na barkach tych panuje już wszechwładnie kolor czarny i brązowy. Całość wygląda, jak wielka tratwa, nad którą górują pokłady dosyć archaicznie wyglądających statków.

Zbliża się godzina śniadania. Murzyn, którego jedynym odzieniem jest nadwątłona przez czas opaski narzucona na biodra, wydobywa blaszanym pudełkiem od konserw czy też tytoniu z dużej blaszanki po nafece białą maź, wylewając ją na blachę, spoczywającą na żarzących się węglach. Placki są jedynym pożywieniem, chlebem codziennym całej czarnej załogi. Z barki znajdującej się po drugiej stronie z wiatrem napływają nieprawdopodobnie silne zapachy smażonego, napół zgnitego mięsa. To grupa Hindusów przygotowuje swój obiad. Obok klasycznie zbudowanej Hinduski siedzi murzynka z długą fajką w ustach patrosząca przed chwilą zamordowaną kurę. Okazała w kształtach „Mammy”, prawdopodobnie jej matka, czepie wodę wprost z Nilu na jakąś murzyńską zupę, a że jest gorąco, pije ją pogardzając przesadami europejczyka, który nie tylko za żadne skarby wody tej nie napiłby się, ale nawet w niej się nie kąpie. I nie z obawy przed krokodylami. Woda Nilu zawiera w sobie tysiące, miliony drobnych ustrojów o wiele niebezpieczniejszych niż krokodyl. Grożą one jeżeli nie śmiercią, to długotrwałą chorobą. Skóra białego człowieka nie jest odporna na Afrykę, ale murzynka pije surową wodę Nilu, i sądząc z jej wyglądu, dobrze jej ta woda służy.

Trzej czarni mieszkańcy południowego Sudanu o klasycznych kształtach rzeźby greckiej, o twarzach nie przypominających niewolniczego typu murzyna napiętnowanego płaskim nosem i potwornymi, czerwonymi, szerokimi wargami — bawią się ze sobą jak dzieci, śmiejąc się i baraszkując. Jeden z nich, jak mała swemu dziecku, zaczyna starannie przeszukiwać włosy swego przyjaciela, co pewien czas usuwając z gęstej, skręconej czupryny obficie tam panoszącą się faunę afrykańską. A kiedy kończy te matczyńsko-fryzjerskie zabiegi, przystępuje do splatania włosów w dziesiątki drobnych warkoczy, które spadają na ramiona, jak szereg czarnych sznurków.

Każdy z nich ma przy sobie jakąś broń. Szytlet umocowany na rękę, miecz przypominający broń krzyżowców ukryty w fałdach opończy, krzywy scimitar arabski, który prawdopodobnie przechodził w szeregu pokoleń z ojca na syna.

Z górnego pokładu rozlega się strzał. Na brzegu w odległości dwudziestu czy trzydziestu metrów pośpiesznie zsuwa się do wody niezgrabne cielsko krokodyla, do którego jeszcze raz nie trafił kapitan statku. Na pokładzie pierwszej klasy wywieszono jest obwieszczenie z kilkunastu punktów. Jeden z nich głosi, iż nie wolno strzelać do krokodyli od godziny 2 do 4 w czasie derzmi popołudniowej. Dzida czarnego mieszkańca tych stepów afrykańskich, ciągnących się po obu stronach rzeki, jest skuteczniejsza od sztucera naszego kapitana, bo oto na drugi dzień przepływa obok naszego statku dogorywający krokodyl, wywrócony brzuchem do góry, ze złączoną dziwą tkwiącą poniżej pancerza.

Jesteśmy w odległości zaledwie kilkunastu metrów od brzegu. Nil w tym miejscu jest bardzo wąski. Równoległe z nami podąża olbrzymi stary słoń, który odłączył się od stada. Co pewien czas podnosi trąbę do góry i otwiera olbrzymi wachlarz swych uszów. Po drugiej stronie pasie się stado kilkudziesięciu słoń, zapadających się w błotnistym terenie. Zwierzęta nie zwracają wcale uwagi na statek. Jedynie hipopotamy, trzymające się razem rodzinami, wynurzają co pewien czas nosy nad powierzchnię wody i pośpiesznie znowu nurkują, dopóki nie minie ich nasza arka Noego.

Jedziemy już kilka dni wśród stepów, porośniętych wysoką trawą, posuwając się pomiędzy wyrzeźbionymi pokrywionymi papirusami, który będzie nam towarzyszył przez całą drogę aż do jeziora Alberta i Kyoga. Jedynie zwierzęta wyjąłające się z traw, krokodyl i hipopotamy, wynurzające się z rzeki, oraz pożary ciągnące się całymi kilometrami przerywają monotonię tej podróży i pejzażu. W nocy chwila ma się wrażenie, że to płoną całe miasta, nad którymi unoszą się juncy i dymy i wyrzucane w górę siłą wybuchów belki i kamienie.

„Tak wyglądała pustynia zachodnia” — odzywa się jeden z Anglików — „w przeddzień ofensywy pod El Alamein. Cała palisa jest ogniem wybuchów bomb, zniszczonych wozów i taborów nieprzyjacielskich”.

Mijamy wioskę murzyńską, z której dobiegają nas odgłosy bębnow i śpiewów. Na tle palących się ognisk widać sylwetki czarnych tańczących postaci. O świcie przejeżdżamy obok innego obo-

zowiska jakiegoś czarnego plemienia. Ogniska, otaczające cały oboz już dogasają, w środku zgromadzone jest bydło. Krowy i bawoły z olbrzymimi rogami, murzyny wymazani jakąś glinką wyglądają jak szare widma witające nas krzykiem i frenetycznymi ruchami rąk. Na widok pustych blaszanych pudełek od tytoniu czy konserw rzuconych do wody, kilku ich skacze do rzeki pełnej krokodyli i w kilka minut już wracają na brzeg, płynąc pięknym stylem, którego mogliby im pozdrościć różni szampioni olimpijcy. Pomiedzy tymi murzynami a krokodylami musi być jakaś potajemna umowa, bo wszyscy nietknięci wracają.

Jakiś bogaty snob, który po raz pierwszy odbył tę długą i nudną drogę, umyślnie ją rozreklamował, aby nie być jedyną ofiarą Coock'a i własnych pieniędzy. Cóż z tego, że jedzie się wagonami o podwójnym dachu, chroniącym od promieni słońca i przed upałem, co z tego, że szyby w oknach sleepingu i wagonu restauracyjnego są zrobione z przyciemnionego szkła Croock'a, niedopuszczającego promieni ultrafioletowych, co z tego, że na statku białe człowiek czuje się jak pasza, któremu służy służba przybrana w operowe stroje, przeprasana szerokimi pasami koloru szmaragdu i szkarłat, co z tego, że kiedy mija się granicę Ugandy, lunch i obiad na statkach są obwieszane nie zwykłym gongiem ale wymyślną muzyką, cymbałami, na których Hindus wygrywa melodie wymyślone i opracowane przez amerykańskiego snoba czy hotelarza, co z tego, kiedy droga jest długa i w znacznej części monotonna. Przebiega przez najmniej ciekawą część Afryki, przez olbrzymie stepy bez końca, płynnie wśród niekończących się papirusów i tylko w niektórych miejscach te papirusy rozstępują się, by ukazać wioskę murzyńską, szereg okrągłych „tukuli”, krytych spiczastym słomianym lub trzcinowym dachem.

Na jednej z przystani wita nas oświeczone przybrany tłum murzynów. Przybrany w znaczeniu afrykańskim, bo są zupełnie nadszy, ale twarze ich i ciała są wymalowane ochrą, kredą i czerwienią. Wyglądają jak straszdyła, które powstają w wyobraźni dziecka po przeczytaniu książek Maya, Mein Reeda i Coopera. Co za wyszukane koafuury. Włosy, sklejone czerwona glina, przybrały formę kapeluszy jakie elegancki europejczyk i angielskie nosy na swych głowach od czasów Elżbiety do Wiktorii. Na rękach i nogach bransoletki, na szyjach błyszczące zwoje drutu i najbardziej wymyślne kolie, na które nawiano różne świecidełka i zęby zwierząt. Niektóre kokietki i eleganci noszą w swych muszlach usznych kły dzika a w nosach nie tylko metalowe pierścienie, ale i wcale okazałych rozmiarów rzeźbione kości.

Jedna z młodych murzynek, która kąpie się na brzegu, ulegając najwidoczniej wpływowi cywilizacji europejskiej, poza bransoletkami na rękach i nogach, za cały strój ma dzwonek mosiężny dość dużych rozmiarów, który zawiesiła sobie na biodrach. Zawieszając się na jej ciele w miejscu, gdzie kończą się krzyżce, dzwonek ten przy każdym jej ruchu wydaje metaliczny, nęcący słuch murzynów dźwięk. Kokietka murzyńska w kilku skokach występuje na brzeg i biegnąc w stronę wioski, jak młode zwierzę, dzwoni wespo, jak gdyby oznajmiając jakąś radosną nowinę.

W miejscowości tej mieszka tylko jeden europejczyk. Wielkorożca całego okręgu o kilkuset tysiącach tubylców. Jutro udaje się z kilkunastu uzbrojonymi czarnymi policjantami w daleki „safari”. Będzie jechał kilka dni wśród bagien rozlewów Nilu, będzie szedł pieszko dalszych kilka dni wśród bushu afrykańskiego, by ukarać jakiś odległy szczerp, który zamordował swego „kacyka”.

Pod wieczór zbliżamy się do miejsca, gdzie rzeka się rozgałęzia. Papirusy ustąpiły miejsca krzakom, na brzegu widać kępy drzew. Roślinność jest coraz bujniejsza, w błotach porasta las różnych drzew liściastych. Jeden z nich przypomina nasze wierzy, inne brzozy, buki, dęby. Wszędzie zaczyna pokrywać mgłą, unoszącą się nad mokradłami. Z błot zrywają się stada kaczek, przelatując nad nami długimi sznurami, Na brzegu, obok bociana i marabu, stoi czapla. Otwiera się przed nami rozległy widok pociętych ruczajami trzaskawisk. Noc szybko opuszcza się na to Afrykańskie Polesie...

„Jestem rozczarowany tą Afryką”, — mówi do mnie Anglik, który po raz pierwszy odbywa tę drogę; — „opowiadano nam na jej temat całą masę kłamstw. Patrząc na ten pejzaż, nigdybym nie przypuścił, że jestem w sercu Afryki. Przypomina mi niektóre zakątki Anglii”.

Niemna nawet moskitów, którymi nas tak straszono. Poco wzięm ze sobą chininę? Środkiem Afryka jest wielkim zaniedbanym ogrodem zoologicznym, w którym pasą się dzikie zwierzęta i wędrują dzicy ludzie. Wielkim zaniedbanym ogrodem zoologicznym, który prawdopodobnie wkrótce zniknie, ustępując miejsca wielkim plantacjom bawełny, ryżu, kawy, trzciny cukrowej. Nil, który płynie na przestrzeni przeszło 5000 tysięcy kilometrów nadaje całej tej części kontynentu swe piętno. Podobnie jak Egipt był kiedyś śpichrzem całego basenu śródziemnomorskiego, tak wielkie stepy i równiny Sudanu staną się, być może, w niedalekiej przyszłości śpichrzem i źródłem surowców nie tylko dla całego czarnego lądu, ale być może i dla znacznej części świata.

Janusz Knake

NOWE KSIĄŻKI

SINGAPORE MILCZY

Ukazała się książka o upadku Singapuru pióra wybitnego dziennikarza amerykańskiego, korespondenta „Chicago Daily News” George’a Wellera „Singapore is Silent” („Singapur milczy”). W książce tej autor usiłuje przekonać czytelnika, że wbrew temu co się powszechnie mówiło, upadek Singapuru nie był żadnym skandalem wojskowym. Singapur nie był bastionem czy fortecą. Od strony lądu miasto nie miało żadnych fortyfikacji, wszystkie bowiem strategiczne plany angielskie wychodziły zawsze z założenia istnienia silnego zaplecza francuskich Indochin. Ewakuacja wojsk brytyjskich z Singapuru nie była rzeczą możliwą. Zatoka Bangka była tak intensywnie przez Japończyków bombardowana, że ochrzczono ją nazwą „Alej Bombowej”. Żaden statek nie mógłby się przez nią prze dostać. Wbrew temu, co się pod wrażeniem kłeski mówiło, biała ludność spisała się w Singapurze dzielnie i spełniała wszystkie swoje obowiązki.

Weller jest wielkim pesymistą, jeśli idzie o możliwości powojennych dobrych stosunków między Stanami Zjednoczonymi a Japonią. Zdaniem jego, sprzeczności między tymi dwoma państwami są tak zasadnicze, że nigdy nie dadzą się załagodzić. Japonia odgrywa wobec Stanów Zjednoczonych tę samą rolę, jaką Kartagina odgrywała wobec Rzymu. Dlatego Stany Zjednoczone będą musiały stale posiadać mocny system baz wojskowych na Pacyfiku.

Wysoką ocenę wartości literackich książki Wellera daje John Chamberlain w „New York Times” z dn. 20 marca.

POWIEŚĆ NIEMIECKA W ORBICIE PROPAGANDY HITLEROWSKIEJ

Nakładem centrali wydawniczej narodowo-socjalistycznej ukazała się książka Karla von Moellera p. t. „Die Lotharingerin”. Tytułową bohaterkę powieści, której akcja rozgrywa się w czasach Wielkiej Rewolucji, jest hrabina La Haute, z urodzenia Francuska, ale z dużą przymieszką krwi niemieckiej (za jaką autor uważa krew lotaryńską). Zmuszona przez rewolucję do ucieczki z Francji osiada ona na Wschodzie:

„Ta kropka krwi lotaryńskiej była jej szczęściem. Zaprowadziła ją ona na Wschód, gdzie już tyłu jej rodaków („Landesleute”) pobudowało nowe osiedla i stworzyło sobie nowe życie”.

Aluzja jest jasna: powieść ma zachęcić Niemców do osiedlania się na Wschodzie, przy czym pod Niemców na Wschód przedstawiono w niej jako — zew krwi.

Nic dziwnego, że z tych samych przyczyn inna powieść niemiecka spotkała się z bardzo ostrą krytyką w prasie. Jest to powieść Hansa Friedricha p. t. „Die Grenze am Strom”. Rzeką jest Łaba, granicą — zasięg osiedlenia Słowian i Germanów. Bohaterką powieści jest Słowianka imieniem Anka. Wychodzi ona za mąż za Sasę i niemieczy się. Niezgodność tendencji powieści z doktryną czystości krwi ściągającą na autora błąd krytyk. Zarzucano mu, że nie wolno przedstawiać Słowian w świetle dodatnim. Nie wolno propagować małżeństw mieszanych. Nie wolno twierdzić, że przez miłość do męża i dziecka kobieta asymiluje się z obcym jej narodem śródziemnym.

Uderza zakłamanie wszystkich tych krytyk, skoro równocześnie komisje himmlerowskie starają się na zimno jak najintensywniej germanizować młodzież polską, nie troszcząc się o krew, jaka płynie w jej żyłach.

Obie powieści są na niskim poziomie literackim.

NOWOŚCI FRANCUSKIEJ

Francuski ruch wydawniczy skupił się dziś przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych, dokąd schroniła się szereg przedstawicieli francuskiej elity kulturalnej, oraz w Kanadzie, gdzie — jak wiadomo — od dawna istnieje duża mniejszość francuska. Z pośród ważniejszych wydanych tam francuskich książek na tematy polityczne wymienić trzeba następujące:

Julien Benda, znany essayista i myśliciel, ceniony dla swej ciętości i logicznej siły dowodzeń autor głośnej przed wojną książki „Zdrada klerków”, wydał w Nowym Jorku książkę „La grande épreuve des démocrates”, studium na temat zasad demokracji, jej natury, historii i wartości filozoficznych.

W Nowym Jorku również ukazała się nieduża książeczka Jacques’a Maritaina, najwybitniejszego francuskiego filozofa katolickiego, dziś emigranta, p. t. „Les droits de l’homme et la loi naturelle”.

W Montrealu w Kanadzie wydał po francusku książkę Luigi Sturzo, znany przywódca włoskiej partii katolicko-ludowej Popolarów. Książka, poświęcona charakterystyce stosunku katolicyzmu do wojny, nosi tytuł: „Les guerres modernes et la pensée catholique”. W dodatku do książki przedrukowano sporą ilość dokumentów.

Gostaw Cohen, były profesor Sorbony, znany autorytet w dziedzinie średniowiecznego teatru francuskiego oraz siedemnastowiecznej myśli religijnej, wydał w Montrealu książkę „Letters aux Américains”, wrażenia z Francji i z Ameryki, z lat 1940—1941.

André David, jeden z przywódców lewicowych katolików francuskich, ogłosił w Montrealu „Message à des jeunes Anglaises”. Autor napisał tę książkę, aby złożyć hołd Angielkom za ich postawę w najcięższych miesiącach wojny.

Prasa palestyńska o naszym piśmie

Dziennik „Haboker” z dnia 12.4.43 zamieszcza dokładne streszczenie artykułu p. t. „Problem mocarstwowości”, który ukazał się w Nr. 1 dwutygodnika „W Drodze” z daty Jerozolima 1 kwietnia 1943. Streszczenie poprzedzone jest następującą uwagą autora recenzji: „Jak donieśliśmy, ukazał się w tych dniach w Jerozolimie numer pierwszy dwutygodnika polskiego „W Drodze”. Nowe to pismo przeznaczone jest dla Wojska Polskiego i dla uchodźców polskich przebywających na Środkowym Wschodzie. Jest to organ urzędowych kół polskich i z tego względu jest interesujące zapoz-

nać się z ideologicznym i politycznym programem nowej trybuny prasowej. Programowy artykuł nowego pisma p. t. „Problem mocarstwowości” napisany został przez jednego z najpoważniejszych polityków i uczonych polskich, przebywającego obecnie na Środkowym Wschodzie i piszącego pod pseudonimem St. Olz. Artykuł ten zawiera szereg myśli, które mogą zainteresować opinie naszego społeczeństwa i to zarówno z punktu widzenia palestyńsko-syjonistycznego, gdyż artykuł omawia kwestie ogólne dotyczące budowanie państwowości, a także z uwagi na stosunki jakie zaistniały w odbudowanej Polsce”.

Przegląd polityczny

Fuehrer Wielkich Niemiec przyjął w swojej kwatrze fuehrera małą kielich Kroczy — Pavelica. Przyjął go z wielką pompą. Sprawozdania berlińskie wymieniały cały bukiet dygnitarzy niemieckich z w Keitlen na czele, którzy obecnością swoją uświetnili to spotkanie. Wydany potem komunikat urzędowy stwierdza, że obaj fuehrerzy — i ten duży, i ten mały — dokonali przeglądu wszystkich bieżących zagadnień politycznych i wojennych, przy czym stwierdzili „absolutną zgodność swoich poglądów na wszystkie omawiane sprawy”. Ta „absolutna zgodność poglądów” między oprawcą a najmnijszym z jego tresowanych kundli — to nie najgorszy z kawałów, jakie słyszeliśmy w tych mimo całą ponurość obfitujących w niesamowite koncepty czasach.

W kilka dni później Fuehrer przyjął Laval. Całą paradę powtórzone do capo. Obficie cytowane potem głosy prasy mówiły o nowej epoce w historii Francji, o europejskiej solidarności, wspólnotę losów, o „statucie Europy”. Oczywiście, i tym razem mowa była o „absolutnej zgodności poglądów”.

Ów „statut Europy” starają się Niemcy obecnie jak najgłośniejszemu zrekłamaować i politycznie wygrać. Gazety niemieckie chcą wmówić w obcych, że Niemcy traktują wszystkie podbite narody europejskie na równie ze sobą stopie, że w hitlerowskiej Europie nie ma zwycięzców i zwyciężonych. W marcu „Voelksischer Beobachter” pisał: „Wobec krajów podbitych i okupowanych zajęto postawę zrozumienia i sympatii w stopniu nie mającym precedensów w historii. Uczyniliśmy wszystko, aby zapobiec odrodzeniu wersalskiej idei zwycięzców i zwyciężonych”.

Gra, jaką Niemcy prowadzą, jest jasna. Na jej tle zrozumiałą jest ten wybuch radości, jakim propaganda Goebbelsa pokwitowała notę Mołotowa, donoszącą o zerwaniu przez ZSRR stosunków dyplomatycznych z Polską. Liczyła ona, że państwa sprzymierzone, zważywszy na niezwykłą wagę udziału ZSRR w obecnej wojnie, zadowolą się zaskomitem moralnie Narodów Sprzymierzonych wobec t.zw. „małych narodów”.

Przeliczyli się. Deklaracja Rządu Polskiego z dn. 28 kwietnia b.r. została przez Rząd nasz uzgodniona z Londynem i Waszyngtonem i ma za sobą pełne poparcie zarówno brytyjskie, jak i amerykańskie. W deklaracji tej „Rząd Polski potwierdza swą politykę, zmierzającą do przyjaznego porozumienia pomiędzy Polską a Rosją Sowiecką, a to na zasadzie integralności i pełnej suwerenności Rzeczypospolitej Polskiej”.

Zasada integralności terytorialnej Rzeczypospolitej postawiona tu została raz jeszcze w sposób kategoryczny i bezwarunkowy. Pod tym względem nie ma między nami żadnych różnic. I na ten temat na żadne targi czy dyskusje nie pójdziemy. Wszyscy jesteśmy tutaj zgodni.

Deklaracja ta stwierdza także, że „Rząd Rzeczypospolitej Polskiej, nigdy nie zgłaszał i nie zgłasza żadnych żądań terytorialnych w stosunku do Związku Sowieckiego”. Polityka polska już przed wojną stała się podkreślała swoje pokojowe nastawienie wobec Rosji. W r. 1929 przystąpiliśmy do protokołu Litwinowa. W r. 1932 podpisaliśmy z ZSRR pakt o nieagresji, w rok później — konwencję o określeniu napastnika. Niemcy niejednokrotnie starali się nas wciągnąć w koalicję antyrosyjską. Nie udało im się. W styczniu 1939 r. odrzuciliśmy propozycję wspólnego ataku na ZSRR. Nie chcieliśmy być współwinnymi przy bandyckim podziale łupów.

Nielicznych publicystów, którzy propagowali hasła rozbioru ZSRR, przytaczająca większość narodu zawsze uważała u nas za fantastów i nie traktowała poważnie. Skoro zatem nie prowadziliśmy polityki antyrosyjskiej i przed wojną, kiedy — podobnie zresztą jak i cały świat — nie docenialiśmy możliwości oporu rosyjskiego, absurdum jest przypuszczać, żeby nowa Polska, która wyjdzie z tej wojny tak skrwawiona, jak żadne inne państwo na świecie, knuła jakieś plany antyrosyjskie dzisiaj, kiedy Rosjanie pokazali całemu światu, jak skutecznie potrafią bronić swej ojczyzny.

Konflikt polsko-sowiecki nie jest konfliktem lokalnym. Sprawa, o którą się tu gra toczy, ma znaczenie ogólne. Idzie o to, czy w stosunkach międzynarodowych panować ma zasada siły, czy też prawa, poszanowania traktatów. Idzie tu zatem nie mniej, jak o zwycięstwo czy kompromitację tych hasel moralnych, w których imię tak bohaterstwo broni się całą okupowaną przez Niemcy Europą.

Wszystkie poprzednie wiosny tej wojny należały do Hitlera. Wiosna 1943 roku jest naszą wiosną. W momencie kiedy operacje w Tunisie zdawały się beznadziejnie przeciągać, przyszło nagle i niespodziewanie równoczesne zwycięstwo przez wojska sprzymierzonych w Tunisie i Bizerty. Zamyka ono afrykańską epopeję tej wojny. Resztki wojsk niemiecko-włoskich, które schroniły się na Cap Bon, nie mają już możliwości skutecznej obrony. Czy się poddażą tydzień wcześniej, czy tydzień później — to już szczegół drugorzędny.

Trzeba Niemcom oddać sprawiedliwość: bili się w Afryce bardzo dobrze. Ulegli, bo ulec musieli wobec przynajmniej przewagi sprzymierzonych w sprzecz wojennym, przede wszystkim w lotnictwie. I to jest najważniejsze doświadczenie tej kompanii. Zadokumentowała ona w sposób szczególnie wymowny wielką przewagę techniczną sprzymierzonych. Wszelkie tłumaczenia w tym sensie, że Niemcy nie mogli rozwinąć w całej pełni swej siły, bo musieli przerzucać sprzęt wojenny przez morze Śródziemne, są naiwne: sprzymierzonym musieli przerzucać sprzęt wojenny do Afryki poprzez Atlantyk.

Całe południowe wybrzeże morza Śródziemnego staje się teraz bazą wypadową dla ofensywy sprzymierzonych na kontynent europejski. Zastanawianie się nad możliwymi wariantami i terminami tej ofensywy byłoby zabawą dosyć jałową. Trzeba zato podkreślić inną, bardzo ważną konsekwencję zwycięstwa tunijskiego. Oto jedynym frontem, na którym dzięki żywej działalności niemieckich łodzi podwodnych sytuacja w dalszym ciągu wygląda poważnie, jest front morski. Oczyszczanie Afryki z Niemców i Włochów pozwoli na kierowanie transportów sprzymierzonych na Bliski i Środkowy Wschód drogą najkrótszą, bo przez morze Śródziemne pod osłoną afrykańskich baz lotniczych. Da to oszczędność w milionach ton paliwa i znacznie skróci czas transportów. I z tego także punktu widzenia zakończenie kampanii afrykańskiej jest dla Niemców dotkliwą klęską.

ww.

KSIAŻKA WAŃKOWICZA O SJONIZMIE

Melchior Wańkowicz, De Profundis, Tel-Aviv. Nakładem wydawnictwa „Przez lasy i morza”. Str. 160.

Talent pisarza polega m.in. i na tym, że potrafi on uchwycić w poruszonym temacie najważniejszą nutę. Czasem zresztą sam pisarz nie zdaje sobie nawet z tego sprawy, podświadomie zmusza go do tego talent.

Każdy naród, a szczególnie naród o tak dawnej historii jak naród żydowski, ma swoje ustalone w opinii ludzkości miejsce, doczepiane do jego charakterystyki pewne przymiotniki. Czy takie etykiety nadawane jakimś narodowi w toku historii są sprawiedliwe, czy charakteryzują go bestronnie, to zależy znowu od dalszego rozwoju wypadków dziejowych. Bywało już nieraz, że narody robiły niespodzianki. Taką np. niespodzianką było zeuropieizowanie w ciągu kilkunastu lat Turcji, o której przywiązaniu do tradycji islamu i głębokim zacofaniu wiedzą, jako o czymś bardzo trwałym w sylwetce zewnętrznej tego narodu. Taką niespodzianką było poddanie się Włochów ideologii faszystów, wówczas gdy opinia ludzkości nie podejrzewała poczyniły „makaroniarzy” o jakieś ukryte imperialne tendencje.

Żydzi zrobili niespodziankę wszystkim, nawet sobie samym, w momencie gdy zaczęli wytrwale i w bardzo szybkim tempie budować swą siedzibę narodową. Jeszcze w początkach obecnego stulecia, a tym bardziej w okresie pierwszych sionistycznych kongresów, patrzano z dużą dozą ironii i pewnym pobłażaniem na wielki porwy tego narodu do prawa samostanowienia, do zajęcia tego miejsca w świecie, które przysługiwało innym narodom stale, a Żydom przed wiekami. Ludzkość nie spodziewała się, że potrafią oni dosłownie w krwawym pocie budować swe domy, wyrwać pustyni pięćdziesiąt kilometrów urodzajnej ziemi, maszerować pod dźwięki wojskowej orkiestry i z dumą patrzeć na swój biało-niebieski sztandar. W ciągu lat kilkudziesięciu, na oczach całej ludzkości powstał z martwych naród patriotów, naród o silnych tendencjach państwowo-twórczych. Zaczęło jeździć do Palestyny, zaczęło rozpisywać się na temat Tel-Awivu i kibuców, przypominając, że Żydzi mieli zawsze talent organizacyjny, że nigdy nie zapominali o Ziemi Obiecanej, że w modlitwie byli wierni narodowemu językowi. Ale to nie wystarczało jako wytumaczenie. Dziwiło się, i z biegiem lat, wobec faktów dokonanych zniknął uśmiech pobłażania, skończyły się ironiczne dociepki. Żydowska siedziba narodowa powstawała, ale dziwiła się inne narody dalej.

Jedną z przyczyn, dla której Żydzi zrobili niespodziankę, co było w tym narodzie, że zdolali oni dokonać tak wielkiego czynu. Bo tragiczne jego dole, bo żydowskie kapitały, bo zalegające antysemityzm w przeróżnych krajach diaspory, czy rozgrywka mocarstw o wpływy na Bliskim Wschodzie — to jeszcze nie wszystko. Musiała być poza tym wszystkim w tym narodzie wielka twórcza wola, która zjednoczyła w wspólnego celu rozproszone miliony, zasymilowane kulturalnie, nie znające w większości swego narodowego języka, obojętne w dużym stopniu na tradycje religijne, tak ściśle związane z ich kulturą.

Ta twórcza wola była właśnie największą niespodzianką, jaką Żydzi zrobili światu. Nie znajdzie się dziś głos na świecie, któryby śmiało odmówił Żydom przywileju narodowej odrębności. Nie ośmieli się żaden Rieser Gabriel, jak to przypominają Wańkowicz na pierwszych stronach swej książki, oznajmiać, że „Żydzi dawno narodem być przestali”. Żydzi są narodem wielkim. Ten przymiotnik „wielkości” zdobyli sobie własnymi siłami. Nie dał im tego przymiotnika ani mandat angielski, ani ich kapitały. Sami po niego sięgnęli i sami zdobyli i zdobywają nadal swą intensywną pracę na nieurodzajnej palestyńskiej ziemi, ciągającymi niezmordowanymi wystąpieniami na między narodowej płaszczyźnie, a wreszcie dziś strzałami, co padają w murach warszawskiego getta. Te strzały, to nie tylko rozpaczliwa obrona ludzi nie mających ratunku, ale to również krwawe świadectwo praw zdobytych w rodzinie europejskich narodów.

Po przeczytaniu książki Wańkowicza możemy godzić się lub nie na sposób przedstawienia pewnych faktów, czy ich dokładność, na potrzebę podkreślenia takich czy innych momentów, ale musimy stwierdzić, iż właśnie Wańkowiczowi udało się uchwycić moment twórczej woli narodu żydowskiego, twórczej woli, która odbudowała narodową siedzibę, dała mu prawo do samostanowienia, a do wielu przymiotników nadanych mu przez opinie świata, dorzuciła przymiotnik wielkości. Z tego punktu widzenia „De Profundis” ujęcie ruch sionistyczny. Wielki talent narratorski Wańkowicza nie przygłuszył istotnej cechy wybitnego pisarza, która pozwala wydobywać na światło dzienne najistotniejsze właściwości opisywanego problemu.

tz.

BELLONA

Otrzymałmy dwa tegoroczne numery miesięcznika „Bellona” ze stycznia i lutego. Widnieje na nich napis: „Rok XXV”. Wymowna to data: przed czterdziestym, kiedy pismo zaczęło się ukazywać, znajdowaliśmy się także w wojnie o granice. Miesięczny przegląd ważniejszych wydarzeń wojennych zawierał wtedy opisy bojów toczonych o wolność przeciw złym sąsiadom, którzy usiłovali gwałtem zatrzymać lub opanować naszą ziemię. Dzisiaj ten dział pisma zajmuje się treściwym kronikarskim przedstawieniem przebiegu wojen na różnych częściach globu, nie ma zaś w nim niestety dotąd nazw wyzwalanych rodzimych miast i wiosek. Jednak o wojnie we wrześniu przypomina nam szereg innych artykułów, będących opracowaniami historycznymi lub teoretycznymi rozważaniami doświadczeń. Z całą wyrazistością wiedza wojskowa ustala już dzisiaj, jak ciężkim błędem było niedocenienie w Paryżu wartości wojennej oporu postawionego przez pozabawioną wszelkiej pomocy armię polską przeciw zmasowanemu siłom niemieckim. Na podstawie posiadanych obecnie materiałów wiadomo dokładnie, że wobec żadnego z przeciwników Niemcy nie wystąpili z tak całkowitym nakładem i zaangażowaniem sił, jak w kampanii polskiej. Wiadomo dzisiaj, że po bolesnych naukach otrzymanych w Polsce, Niemcy poświęcili zimę 1939—1940 na gruntowne przeszkolenie swej armii od szeregowca aż do sztabów i wyższych dowódców oraz wprowadzili zmiany organizacyjne. W tym czasie w Paryżu miano dla Polaków tylko słowa współczucia i lekceważenia. Kilku autorów w omawianych numerach „Bellony” zajmują się zagadnieniem właściwego wykorzystania doświadczeń wojennych, zwracając uwagę na konieczność harmonijnego rozwoju zastosowania wszelkich wszechstronnych środków walki, jakie dzisiejsza technika może dostarczyć, i przestrzegając przed błędami faworyzowania pod wpływem mody opartej na ostatnich sukcesach jednego lub kilku tylko środków, np. lotnictwa lub czołgów. Z wielką jasnością autorzy wskazują na bezpodstawność zbyt pochopnych wniosków, jeśli w jakiejś kampanii wydawało się na pierwszy rzut oka, jakoby czołgi odgrywały dominującą rolę, albo jeśli w ciągu jakiegoś czasu działy naziemnych lotnictwa z kolei zaimowały wszystkie inne bronie. Wprawdzie można być pewnym, że w momencie końcowym tej wojny, jak każdej innej, może zwyciężyć „zwycięzca” jedna broń, bo przecież w długim meczu w końcu decyduje jeden cios. Dopóki jednak wojna nie dojdzie do kryzysowych napięć, istota sztuki polega na współdziałaniu wszystkich broni i ludzi. Bardzo interesujące pod tym względem są zamieszczone w piśmie przykłady obecnych niemieckich ćwiczeń taktycznych. Widać z nich, jak nasz wróg w pełni stosuje w walce współdziałanie, rzucając do boju oddziały skombinowane, rozporządzające wszelkimi dostępnymi środkami technicznymi. Kompania strzelecka, która u Niemców jest etatowo mała, niewiele ponad stu ludzi, otrzymuje jako wzmocnienie np. pluton ciężkich karabinów maszynowych, drużynę moździerzy, pluton dział przeciwpancernych, a ponadto współdziała z nią pluton albo dwa czołgów. Przyjemna jest tu możliwość stwierdzenia, że w polskiej Szkole Podchorążych Piechoty już w 1930 r. w czasie trzytygodniowych manewrów najstarszego rocznika szkoły prowadzone były przez cały czas działania podobnie wzmocnionej kompanii. Myśl wojenna polska niewątpliwie przodowała, brakło jedynie pieniędzy, a więc środków technicznych.

W przeglądzie czasopiśm podane jest omówienie interesującego amerykańskiego artykułu „Geopolitics and Today's War”. Szkoda, że autor, oceniając podobieństwa i różnice hitlerizmu i szkoły Haushofera nie uwypuklił tendencji do pojednania między Rosją a Niemcami i płynącej stąd groźby dla świata. Polacy są przecież z natury ekspertami w tej sprawie.

Dla niewojkowych godne jest uwagi przeczytanie artykułu Gustawa Łowczowskiego „Rola i cechy adiutanta”, ponieważ wielu referentów cywilnych, pełniąc właściwie analogiczne funkcje, może tu znaleźć pobudkę do zastanowienia się nad metodami swej pracy.

Wreszcie jedna uwaga językowa. Niemcy wprowadzili nowy termin taktyczny: „Kessel-schlacht”, lub „Einkesselung”, na oznaczenie typu nowoczesnej bitwy, jaka wywiązuje się po dokonanym przełamaniu i zagonie pancernym, kiedy dochodzi do otoczenia sił nieprzyjacielskich i kiedy powstaje ogólna kotłownia. Termin ten jest zacierpnięty z fachowego języka myśliwych. Angielscy lub francuscy autorzy w pracach taktycznych zazwyczaj przytaczają termin niemiecki bez tłumaczenia. W „Bellonie” zaś spotykamy wyrażenie bitwa „kotłowa”. Ten neologizm wydaje mi się nieszczyśliwy językowo, gdyż należałoby mówić i pisać: „bitwa kotłowa”, podobnie jak mamy polowanie miotem, na podchód, z budki i t.p. Zjemyż wszak wszyscy nadzieję, że zastosujemy te wszelkie metody łowieckie pod koniec wojny z Niemcami.

Jalla.

ZWYCIĘSTWO W PUSTYNI

Film „Desert Victory” obejmuje okres od momentu wycofania się 8. Armii na pozycje pod El Alamein aż do zajęcia Trypolisu przez wojska brytyjskie. Głównym tematem jednak jest sama bitwa pod El Alamein, przedstawiona w tym filmie z drobiazgową dokładnością. Jest to film o znaczeniu ściśle dokumentalnym. Nic nie wykracza poza przedstawienie elementów, które złożyły się na jedno z największych zwycięstw drugiej wojny światowej.

Na obraz ostatniej ofensywy my, Polacy, spoglądamy ze szczególnym uczuciem. Widzimy tam Niemców, którzy padają ofiarą lepszej organizacji, doskonalszego sprzętu, większej dyscypliny i poświęcenia. Widzimy dowódcę, syna rozbójniczego narodu, najwspanialszego bodajże przedstawiciela ducha wojennego Niemiec, zmuszonego do odwrotu, tracącego armię i sprzęt, pobitego bezapelacyjnie przez brytyjskiego generała.

Film ten mówi nie tylko o żołnierzu, przedstawia on także udział w zwycięstwie kobiet brytyjskich. Sprzęt, który odnosi zwycięstwo pod El Alamein, wychodzi z fabryk, w których w żelaznej dyscyplinie obowiązku i ofiary pracują kobiety brytyjskie. Nigdzie, nawet w Niemczech, mobilizacja kobiet nie została przeprowadzona w takich rozmiarach, tak całkowicie, jak właśnie w tym kraju, najbardziej bodajże oddalonym od idei totalizmu. I nigdzie nie przyczyniły się one w tym stopniu do zwycięstwa.

Film „Desert Victory” — to opowieść bez „love story”, której głównym motywem jest poświęcenie, dyscyplina, zimna kalkulacja, organizacja, której siła wynika z przekonania o słuszności sprawy. Nie ma blagi, wielkich słów, kultu jednostki, dowódcy, jest szacunek otaczający wszystkich uczestników tego wspaniałego zwycięstwa. Jakkolwiek brak elementów politycznych, samo przedstawienie faktów wskazuje na to, jak wielki naród, którego częścią jest 8. Armia, rozumiał potrzebę zaufania do swego naczelnego wodza Winston Churchill, jak to zaufanie jest jednym z elementów zwycięstwa.

I wreszcie, „Desert Victory” przedstawia wojnę prawdziwą, bez żadnych obsłonek. Każdy, kto ją widział na polu bitwy, znajdzie w tym obrazie cząstkę własnych przeżyć, własnych wspomnień. Bierze udział w tej walce wspaniała młodzież angielska, albowiem cała 8. Armia jest młoda. Od góry do dołu widzi się ludzi młodych, zdrowych, przejętych misją wygrania wojny i poświęcających temu zadaniu całą swoją duszę, cały swój rozum, całe swoje ciało, bez żadnej reszty, bez miejsca na osobiste ambicje.

Najciekawszą jednak stroną faktury filmu jest powiązanie obrazów walk z rozmaitych miejsc pola bitwy z przedstawieniem rozwoju akcji. Zastosowano formę sprawozdania sytuacyjnego. A więc przede wszystkim O. D. B. i dyslokacja wielkich jednostek. Przedstawiono plan działania obu stron. Uwypuklono element zaskoczenia i ukrycia własnych zamiarów aż do chwili rozpoczęcia działań. Główne uderzenie odbywa się na odcinku północnym, na południu ma miejsce demonstracja, odwracająca uwagę nieprzyjaciela niemal że do momentu poniesienia klęski.

Obie strony są na pozycjach, których obieć nie można. W takim wypadku można pobić nieprzyjaciela, uderzając w niego jak łomem w ścianę. Otwór powstaje rozszerza się przez ruch w prawo i w lewo, poczem uderza się ponownie, i tak aż do rozbitcia oporu nieprzyjaciela w pożądanym miejscu. Nie idzie nawet o to, by uderzyć danym miejscem.

W pierwszym stadium bitwy głównymi aktorami są: saper, piechur, artylerzysta i lotnik. Piechota musi pobić nieprzyjaciela, musi przełamać jego linię, utworować drogę czołgom, które dopiero w końcowej fazie wykonują pościg, niszczą uciekające kolumny, bazy zaopatrzenia i uniemożliwiają zatrzymanie się nieprzyjacielowi i ponowne stawienie oporu.

Ta metoda jest wynikiem zasadniczej ewolucji, która nastąpiła od dnia 1 września 1939 r. Przełomowy niemiecki czołg „Mark III” mógł działać przeciw niedostatecznie wyposażonej piechocie. Gdy na polu walki pojawiła się broń przeciwpancerna w ilości wystarczającej, by zatrzymać każdą dywizję pancerną, piechota odzyskała rolę utraconą w kampaniach polskiej i francuskiej Ewolucja następowała powoli. Już w czasie oblężenia Tobruku przekonano się, że czołgi, które przetrwały się przez linie piechoty, nie mogą odnieść zwycięstwa, jeżeli jednocześnie nie przetrze się także własna piechota za nimi. Bir Hakeim zdobyła piechota i gdyby nie to, bitwa czołgów w Czarim Kotle i o Knightsbridge nie przyniosłaby rozstrzygnięcia. Czołgi odgrywały ważną rolę, ale nie decydującą. Teraz w taktyce 8. Armii żołnierz piechoty ponownie staje się głównym czynnikiem zwycięstwa. I ten karabin z bagnetem, który widzimy przez cały niemal ciąg filmu, jest symbolem powrotu do starych elementów decydujących o wartości armii.

Wojna przestała być wiedzą magów. Zasadnicze pojęcia, niezmiennie od czasów niepamiętnych, powinny być znane każdemu obywatelowi, gdyż każdy obywatel w wojnie bierze udział. „Desert Victory” uczy wojny łatwiej i lepiej, niż dzieła teoretyków. Film ten, dzieło nauki o wojnie, daje całokształt operacji i zaopatrzenia. Łączy on studium technicznych problemów wojskowo-organizacyjnych i wymykającego się dotychczas nauce wojskowej elementu, a stanowiącego za-sadniczy warunek zwycięstwa — sił moralnych żołnierza.

Konrad Prus.

OPERA EREZ ISR. AMAMIT

Repertuar na terenie Palestyny od dnia 15 do dnia 31 maja 1943

17 maja	Tel-Aviv — PIĘKNA HELENA
19 "	Tel-Aviv — BAL MASKOWY
20 "	Petach-Tikva — Piękna Helena
22 "	Tel-Aviv — PIĘKNA HELENA
25 "	Tel-Aviv — Zemsta Nietoperza
26 "	Tel-Aviv — PIĘKNA HELENA
31 "	Tel-Aviv — T O S C A

Adres Redakcji: Polish Information Centre, Jerusalem, Bezalel Street, House Valero.

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Redaktor: St. A. Balicki
Drukarnia: The Jerusalem Press
Jerusalem. Hassolel St. 9. Tel. 2898

Z PRASY PODZIEMNEJ

NIEBEZPIECZNY „PASAŻER NA GAPE”

Pisze o nim „Zryw”:

„Mały sabotaż jest bezspornie groźną bronią, skierowaną przeciw okupantowi. Polega bowiem na stałym i powszechnym naruszaniu, obchodzeniu, przekraczaniu wszelkich norm, przepisów, zarządzeń, nakazów i zakazów okupanta w zakresie życia publicznego. W ten sposób dokonywa się systematyczna dezorganizacja życia publicznego, utrudniająca Niemcom ogromnie wyciąganie z kraju zamierzonych korzyści, zmuszająca ich do nieproporcjonalnie wielkich wysiłków dla osiągnięcia pożądanego rezultatu, zajmująca nadmierne dużo ich sił a wreszcie — rzecz co do ważności wcale nie najmniejszego znaczenia — demoralizująca ich własny, niemiecki aparat urzędniczy i wojenny, działający na tym terenie. Każdy zna z własnego doświadczenia i przeżycia mnóstwo przykładów tej kategorii sabotażu. Niedostawianie kontyngentu, unikanie wyjazdu do roboty, wszelkie formy utrudnia-

nia akcji urzędów pracy, handel nielegalny, zła i nieterminowa praca robotnika i urzędnika oraz tysiące innych sposobów, które dziś przenikają życie codzienne każdego prawie Polaka, są przejawami małego sabotażu. Bohaterem małego sabotażu — w Warszawie prawie symbolem — jest pasażer na gapę, tramwajarz czy kolejarz, przewożący pasażerów bez biletu, granatowy policjant biorący łapówki lub inkasujący kary administracyjne do własnej kieszeni i t.d. Można stwierdzić, że każdy przepis wydany przez okupanta staje się źródłem nowych przeliczeń przekroczeń, otwiera nowe pole dla małego sabotażu. W ten sposób bardzo wiele zarządzeń niemieckich trafia w pustkę, chybia celu, niczego nie organizuje. Z tego punktu widzenia mały sabotaż jest pożyteczny jako broń działająca przeciw wrogowi — z tego powodu powinien i musi być stosowany — ale tylko jako broń przeciw wrogowi”.

Wszelką korespondencję, rękopisy należy nadsyłać pod adresem: Jerusalem, Centrum Informacji, Bezalel street, House Valero; dla redakcji „W Drodze”. Rękopisów nie zamawianych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo skracania rękopisów.